7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



„Idę z dalekiego kraju, gdzie psi ogonem szczekają” (ze staropolskiej piosenki karnawałowej). (Warszawska K. S. A.).

Powrót Daudeta

Leon Daudet, wódz rojalistów francuskich, naczelny redaktor „L'Action Française", członek Akademji Concourtów, polemista, polityk, powieściopisarz, uczony, mówca, socjolog, autor przeszło 50 tomów powieści, pamiętników, rozpraw, pamfletów, szkiców, pisanych niezrównanym stylem Voltaire'a — powrócił do Paryża po dwuletniej dobrowolnej banicji w Brukseli, dokąd schronił się po sensacyjnem uwolnieniu go z więzienia Sante! Wrócił, witany owacyjnie przez swoich stronników, a zwłaszcza przez młodzież, wśród której — co tu ukrywać — L'Action Française, — acz wyklęta przez kler — cieszy się wielką popularnością...

Ale nawet przeciwnicy polityczni groźnego polemisty — a jest ich co niemiara, bo Daudet nikogo nie szczędził, kto wydawał mu się szkodnikiem narodowym, lub był nim istotnie — nawet republikanie lewicowi, nawet radykaliści socjalni z Herriotem na czele — powitali powrót Daudeta z ulgą i zadowoleniem.

Cały bowiem epizod z tajemniczem zabójstwem — według oficjalnej wersji: samobójstwem — jego 14-letniego syna Filipa, ze skazaniem szalejącego z bólu ojca na pół roku więzienia z powództwa szofera taksówki, w której znaleziono zwłoki małego Filipa, z brawurową ucieczką z więzienia, zorganizowaną przez młódź rojalistyczną, obawiającą się, że uwielbiany ich wódz może nie wyjść żywy z za krat (wypadki chodzą po ludziach, którzy narazili się potężnej policji politycznej) jak nie wyszedł żywy Almareyda, bo „zawiele wiedział" — cały ten epizod, powtarzam, miał posmak podejrzany i niezbyt zaszczytny dla władz republikańskich.

Z punktu widzenia martwej litery prawa, Daudet został prawidłowo skazany, ponieważ nie dowiódł — zdaniem trybunału — że syn jego padł ofiarą policji politycznej, pałającej zrozumiałą nienawiścią za demaskowanie bez pardonu pewnych ciemnych sprawek obecnego „régime'u" — pomimo to jednak społeczeństwo, wiedzione niezawodnym instynktem, stanęło po stronie zrozpaczonego ojca, rozgrzeszając go nawet z możliwych i prawdopodobnych omyłek w gorączkowem szukaniu sprawców tajemniczej śmierci dziecka.

Pozatem — żyje jeszcze we Francji pamięć o dobrowolnem wygnaniu Wiktora Hugo, który z wyspy na kanale La Manche gromił niestrudzenie nieprawości, zbrodnie i gorsze od zbrodni błędy Drugiego Cesarstwa — aż doczekał się jego upadku we krwi i hańbie Sedanu.

Uczciwi i szczerzy republikanie nie mogli poprostu znieść myśli, że w oczach ogółu, skłonnego do uproszczeń, tworzy się i dokoła potężnej postaci Leona Daudeta rodzaj tej samej aureoli, jaka otaczała skronie autora „Nędzników".

Oto dlaczego, pod naciskiem opinji, niemal jednogłośnym, acz z rozbieżnych pobudek wychodzącym, rząd p. Tardieu zdecydował się w końcu przedstawić p. prezydentowi Doumergue do podpisu dekret o amnestji dla Leona Daudeta.

L. Brun.



Prezydent Estonji Otto Strandman przybędzie w dniu 10 lutego do Warszawy z wizytą kurtuazyjną i jako gość p. Prezydenta Rzplitej.



Członkowie delegacji polskiej na konferencji w Hadze.



Szefem francuskiego sztabu generalnego został mianowany doświadczony przyjaciel Polski generał Weygand.

W dniu 1 stycznia b. r. ustąpił współzałożyciel naszego pisma p. Roman Aprill. Komunikując o powyższem składamy Mu podziękowanie za szczerą współpracę.

WYDAWNICTWO „TEATR i ŻYCIE WYTWORNE" i „7 DNI"

CHCESZ ZAPEWNIĆ SOBIE DOBROBYT,

KUP LOS LOTERJI PAŃSTWOWEJ

CIĄGNIENIE 6 i 7 LUTEGO B. R.



Królową piękności Libanu został wybrana Laitha Logbi, którą widzimy na fotografji dokonanej podczas herbatki u Miss France 1926 r. p. Raymondy Allain (córki słynnego autora Allain Durtail'a).



Zjadliwy delegat Wielkiej Brytanji w Hadze — Min. Snowden.



Tradycyjny bal „Śmieciarzy“ w Paryżu odbył się w tym roku w kabarecie „Perroquet“ pod przewodnictwem uroczej divy — Mistinguett, którą widzimy na fotografji wraz z partnerem, Earl Lirlie,m.



Z pośród 200 konkurujących niewiast francuskich p. Yvette Labrousse z Lyonu została wybrana na Miss France 1930 r.



KALODENS, ELIXIRY PROSZEK DO ZĘBÓW
WYROBU LABOR. CHEM. FARM. APTEKI
M. Malinowskiego
ul. Chmielna 4, w WARSZAWIE, ul. Nowy Świat 31.



Minister Cheron jest jednym z najważniejszych członków delegacji francuskiej w Hadze.



Zasłużony aktor scen warszawskich, p. Paweł Owerło wybrany został na prezesa Stow. Emer. Teatrów Miejskich.



Dotychczasowy Komisarz Rządu na m. st. Warszawę, p. wojewoda Wł. Jaroszewicz został przeniesiony w stan spoczynku.



Znana tenisistka Miss Helen Wills poślubiła p. Fr. Moody jra. (fot. Atlantic).



Uruchomiono w Londynie taksometrowe łodzie motorowe na przestrzeni Chiswick - Westminsters,

WALKA O NAFTĘ

Kilkadziesiąt lat temu, kiedy nafta służyła wyłącznie do oświetlenia, a produkty jej zaczęły sobie torować drogę w przemyśle, posiadanie źródeł ropy przez dane państwo lub wywieranie przezeń wpływu na produkcję w innych krajach nie posiadało istotnego znaczenia.

Sprawa ta wszelako weszła na odmienne tory od czasu, kiedy nafty zaczęto używać, jako materjału pędnego, a zastosowanie jej dla tych celów dało technice możność poczynienia znakomitych postępów. Sprawa ta ściśle wiąże się z zagadnieniami komunikacji lądowej, morskiej i powietrznej, a przeto — jak mówi francuski senator Bérenger — „stanowi o mocarstwowem stanowisku danego narodu. Nafta jest w dobie dzisiejszej cenniejszą bodaj od samego złota."



Sir Henry Deterding, prezes angielskiej grupy naftowej. Royal Dutch Shell.



John Rockefeller, prezes amerykańskiej grupy naftowej. Standard Oil.

Praktyka ostatniej wojny potwierdza w niezliczonych wypadkach tę tezę.

Nic też dziwnego, że w sferach politycznych przestano od pewnego czasu traktować zagadnienia przemysłu naftowego, jako wchodzące wyłącznie w zakres ekonomji i niejedne posunięcie w dziedzinie stosunków międzynarodowych ściśle zazębia się w zażartą walkę, prowadzoną o naftę.

Na czoło tych zagadnień wysuwa się w pierwszym rzędzie sprawa utrzymania pokoju pomiędzy Anglją a Stanami Zjednoczonemi (otwarte wyznanie Filipa Snowdena, wygłoszone w roku ub. na posiedzeniu Izby), państwa bowiem, będąc najwięcej zainteresowanemi w tej materji prowadzą od kilkunastu lat zażartą walkę ze sobą — względnie towarzystwo Royal Dutch Shell, (Sir Henry Deterding), jako grupa angielska, przeciw Standard Oil (John Rockefeller) ze strony amerykańskiej *).

Pozwolimy sobie w tem miejscu sięgnąć do historji odkrycia pierwszych źródeł ropy i powstania trustu amerykańskiego. Okazuje się tedy, iż doniosłego tego odkrycia dokonał przed 300-u laty zupełnie przypadkowo, misjonarz francuski, ojciec Józef de la Roche d'Allion. (Przypomnimy przy sposobności, iż w roku ubiegłym obchodziliśmy siedemdziesięciolecie powstania przemysłu naftowego na ziemiach polskich i zastosowania dzięki wynalazkowi Łukasiewicza — nafty — produktu destylacji t. zw. kipiączki lub oleju skalnego — do oświetlenia). Błogosławione czasy! Nie znano wówczas ani trustów, ani żadnych kombinacyj politycznych, związanych z zagadnieniem transporcie. Idyliczne te stosunki panowały w Ameryce aż do chwili pojawienia się na horyzoncie Rockefellera (50 lat temu), który, w myśl powszechnie rozwijającej się podówczas tendencji, postanowił opanować całą produkcję i zbyt nafty w Stanach. Zorganizował on w tym celu towarzystwo pod nazwą Standard Oil Co, które w krótkim czasie pokusiło się również o opanowanie olbrzymiego systemu banków, środków lokomocji lądowej i wodnej i t. d. Sprawa ta wreszcie oparła się o sąd, którego decyzją towarzystwo zostało rozwiązane i zmuszone do zapłacenia szeregowi poszkodowanych osób cywilnych i prawnych kolosalnego odszkodowania za poniesione straty w wysokości $ 29.000.000. Rockefeller nie poddał się jednak — grzywny nie zapłacił (istotnie bowiem, jak się okazało, przedstawiciele władz byli nawet zainteresowani w jego poczynaniach), a towarzystwo zobowiązało się po paru latach okrzepłe i rozszerzone.

Rok 1899 zaznaczył się krytycznie dla interesów trustu, gdyż wzmożenie produkcji rosyjskiej zaszachowało w znacznym stopniu dalszy rozwój Sandard Oil'u. W tej nowej grupie zprzysięgli się przeciw Rockefellerowi — Nobel z Rotschildami, wykładając na inwestycje i organizację zbytnio olbrzymie kapitały.

Na ten okres czasu przypada pojawienie się na horyzoncie zagrożonego towarzystwa szeregu „aventurierów" w stylu owego admirała amerykańskiego, Colby M. Chestera, który wykorzystując swą misję urzędową do Turcji, zainteresował się złożami naftowemi w Anatolji, porzucił służbę i rozpoczął pertratacje z Abdul Hamidem o otrzymanie koncesji. Przebiegły sułtan, widząc, jak wielce do serca przyjął ten projekt Chester, rozpoczął jednocześnie pertraktacje z Anglikami. W tym samym czasie pewien Australijczyk, nazwiskiem William K. d'Arcy otrzymuje od szacha perskiego koncesję na eksploatowanie olbrzymich pól naftowych (około $^1/_2$ milj. mil kw.) i daje początek założeniu towarzystwo Anglo-Persian (obecnie poczynają coraz silniej sadowić się na Bliskim Wschodzie, uważając powoli całą tę połać kraju za wyłączne swoje dominium.

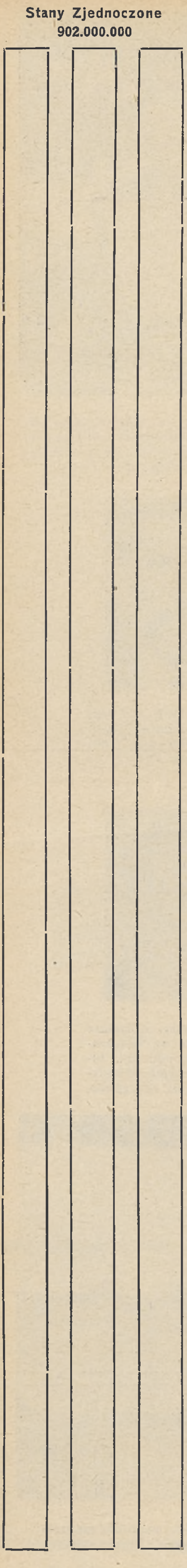
Ciekawym przyczynkiem do walki, która się tu rozwija jest rozgrywający się w obecnej chwili proces, nic na pozór nie mający wspólnego z polityką naftową — proces o fałszywe czerwońce. Cóż się bowiem okazuje? Tereny naftowe, znajdujące się w Gruzji, a stracone po przewrocie bolszewickim zarówno dla Standardu, jak też dla Royal Dutchu, służą za narzędzie dla gruzińskich niepodległościowców, którego starają się użyć jako przynęty, mającej im zjednać poparcie Zachodu. Royal Dutch i Nobel podają sobie ręce i nawiązują kontakt z Gruzinami. Niemieccy agenci prowadzą jakąś zawiłą grę, której nici znajdują władze sądowe zarówno w Londynie, jak w Berlinie i w Moskwie. Sprawa jest niezmiernie ciemna — jasnem jest tylko, na co istnieją niezbite dowody — iż świadkowie i oskarżeni, Gruzini, co fałszowaniem czerwońców usiłowali osłabić przed akcją antysowiecką Moskwę, wspominają nazwiska Sir Deterdinga (pochodzącego z rodziny niemieckiej, osiadły w Hanowerze), Nobla, niemieckiego generała Hoffmanna i zdradzają fakt prowadzenia jakiejś akcji w Londynie. Dalsze śledztwo jest w toku i może rzucić wiele światła na różne okoliczności towarzyszące tej dziwnej zmowie — kapitalistów angielskich i amerykańskich oraz ugrupowań nacjonalistów niemieckich.

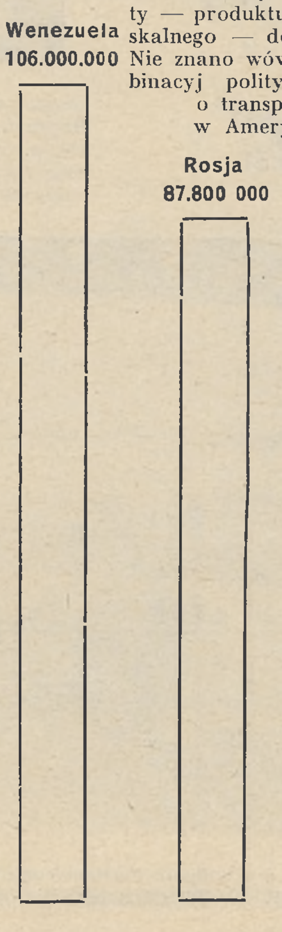
Nie poprzestając na zdobyczach swych na Wschodzie, Anglicy usiłują wyrwać z rąk Amerykanów supremację ich w Południowej Ameryce, przeciw czemu Stany stawiają zaciekły opór i wydają postanowienie o rozciągnięciu najściślejszej kontroli nad koncesjami, znajdującemi się w rękach obcokrajowców. Takie same środki wchodzą w życie ze strony Anglików.

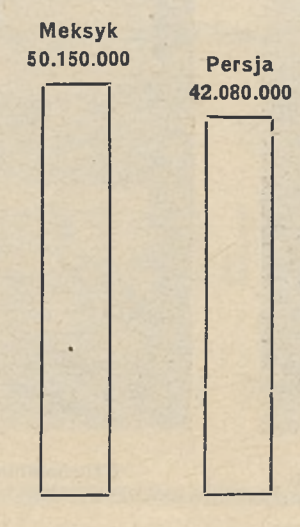
W kotle międzynarodowych intryg i matactw wre po staremu; ogień podsycony naftą może lada chwila wybuchnąć z niezwykłą siłą. A wówczas... Gdy miara się przebierze — pożar gotów zagrozić pięknie pielęgnowanym ideom o wieczystym Pokoju i Przyjaźni Narodów...

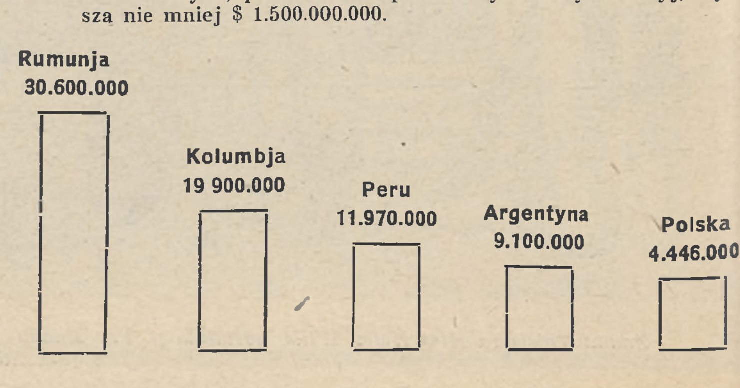
---

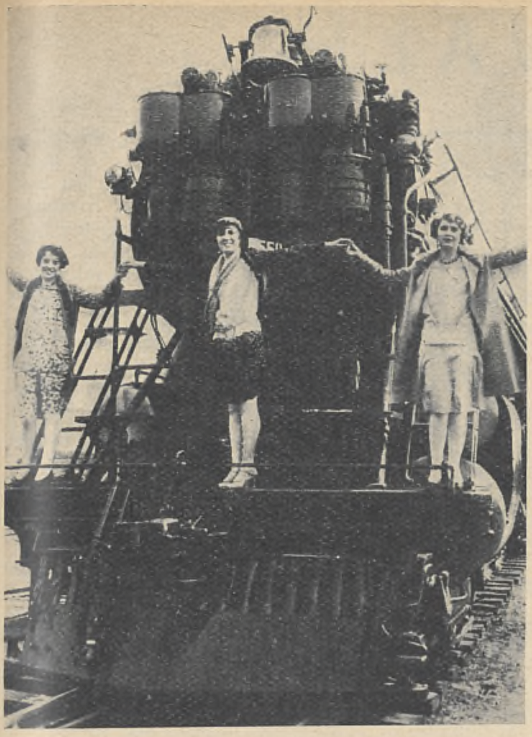
*) Inwestycje grupy amerykańskiej — Rockefellerów, Mellonów i innych, potentatów i posiadaczy drobnych akcyj, wynosza nie mniej $ 1.500.000.000.











Lokomotywa olbrzym zbudowana przez Great Northern Railway Co., kursująca pomiędzy Seattle i Chicago. Posiada ona 105 stóp dług., bak o pojemności 15.000 galonów wody i 5.000 galonów smaru. Siła jej wynosi 4.000 H. P.

INŻ. Z. KACPROWSKI

Koleje w pochodzie cywilizacji

Dążenie do osiągnięcia coraz większej prędkości w przenoszeniu się z miejsca na miejsce jest wykładnikiem epoki naszej, jest jednocześnie wyrazem tej nerwowości, jaka cechuje ostatnio.

Opowieści o podróżach z przed kilku stuleci wydają się nam jak bajki z innego, nie naszego świata. W XIV-m stuleciu księżniczka Burgundzka podróżuje z „rekordową" szybkością: 64 kilometry dziennie. Podróż tę odbywa wraz z meblami, firankami, dywanami i swojem winem w beczułkach.

W sto lat później podróż z Paryża do Madrytu trwała 20 dni, a Mazarin czuje się wielce zadowolony, gdy uda się jego kurjerowi dyplomatycznemu odbyć ją w 11 dni.

Jeszcze w r. 1810 dyliżanse, podróżując dniem i nocą, jechały 4 dni z Paryża do Lyonu, a w czasach Ludwika Filipa, czyli w okresie wynalezienia lokomocji kolejowej, czas ten został skrócony o jeden dzień.

Dziś drogę tę ekspres „P. L. M." przebywa w 6 godzin...

Dziś najbardziej wymagająca „księżniczka Burgundzka" może obejść się w podróży bez swych mebli i swej pościeli...

Z chwilą wynalezienia przez Stephensona lokomotywy, technika kolejowa postępuje naprzód z zawrotną szybkością.

Ostatnie lata po wojnie, przy pomocy takiego potężnego bodźca, jakim jest walka ekonomiczna narodów o życie, potrzeba usprawnienia wszelkich jego dziedzin i zgniecenia znojnej konkurencji — przynoszą niemal z dniem każdym zadziwiające ulepszenia w technice kolejowej.

Chęć do zdystansowania konkurenta, pęd ku ustawicznemu zmniejszeniu odległości na kuli ziemskiej przez zwiększenie prędkości lokomocji, a jednocześnie zapewnienie możliwie taniego przejazdu — pcha towarzystwa kolejowe do budowania coraz potężniejszych lokomotyw-olbrzymów.

W kraju szerokiego gestu i nieograniczonych możliwości finansowych — w Ameryce, występuje ta tendencja szczególniej wybitnie.

Olbrzymie cielska lokomotyw rosną stale, mechanizmy ich stają się coraz bardziej złożone i moc potężniejsza.

W porównaniu ze skromnemi lokomotywami z zarania kolejnictwa wyglądają one jak monstrualne dinosaury obok niepozornych współczesnych jaszczurek.

Lokomotywy ostatniej konstrukcji mogą rozwijać prędkość, dochodzącą do 130 kilometrów na godzinę. Pociągi jednak nie posiadają takiej prędkości, i wątpliwe jest, czy prędko do niej dojdą, nie tylko ze względów czysto technicznych, ale i ekonomicznych przedewszystkiem.

Prędkość bowiem kosztuje drogo, bardzo drogo, nie tylko na morzu, ale i na lądzie.

Z tych właśnie względów prędkość pociągów europejskich dochodzi zaledwie do 100 kilometrów na godzinę, i to niektórych tylko we Francji i w Anglji. Jest to t. zw. „prędkość handlowa", która uwzględnia konieczne postoje i zwolnienia biegu. Jest ona zresztą bardzo zależną od odległości i spada gwałtownie w miarę wzrostu ostatniej. A więc np. ekspres Paryż—Bruksela—Amsterdam robi na odcinku Paryż—Bruksela (300 kilom.) po 91 kilometrów w godzinę, ale, licząc na całą odległość Paryż—Amsterdam (544 kilom.) średnia prędkość wypada już tylko 68 kilom.

Najszybszym pociągiem na świecie, przy najdłuższej odległości, jest amerykański „Ekspress XX-go stulecia", wykazujący przy odległości 1536 kilom. między Nowym Yorkiem a Chicago, średnią prędkość 78 kilom. Zdaje się, że przy tych prędkościach, albo przy niewiele wyższych, ludzkość musi pozostać w obecnym stanie techniki i ekonomiki.

A zatem fatalne zdystansowanie kolei przez nowsze środki lokomocji: auto i aeroplan?

Bynajmniej. Istnienie i rozwój kolei zapewniony jest na bardzo długie jeszcze lata. Jeśli bowiem nawet przyznać dwom tym nowym środkom lokomocji jednakowe z koleją zalety bezpieczeństwa i wygody (co możnaby przedyskutować) — to kolej będzie miała zawsze przywilej nadawania się do masowych przewozów i na duże odległości, czyli będzie instytucją faworyzowaną przez najszersze masy ludności.

Wiadomem jest powszechnie, że w wielu krajach Zachodu i w Ameryce, samochód wyrządził krzywdę przedsiębiorstwom kolejowym, zabierając im pokaźną część zarobku.

Ale sytuacja nie jest tak groźna: kraje zainteresowane zrozumiały odrazu, że ruch samochodowy

(Dokończenie na str. 17).



Elektryczna lokomotywa, kursująca przez nowozbudowany tunel na linji Seattle—Chicago.



Nowy dworzec w Helsingforsie, uważany za najbardziej współczesny w Europie.

W WIRZE KARNAWAŁU



Obyczaj zapustny z XV w.. polegający na wyprowadzaniu na pokaz publiczny niewiast, którym w karnawalę nie udało się wyjść za mąż.

Miłe panie i dorodni gentlemeni, dążący własnemi samochodami lub skromniej rozparci w taksówkach na bale — niechaj wolno mi będzie przypomnieć o kilku szczegółach z historji karnawału, co czyniąc, jak ongi mawiano, zastrzegam się, byście nie chcieli brać przykładu z licencji dawnych obyczajów.

Otóż karnawał i zabawy zapustne datują się z przed wieków, a pierwszym ich kronikarzem był Owidjusz. Wyobrażam sobie, jak wielu z czytelników westchnie żałośnie, iż za mało w odpowiednim czasie poświęcało uwagi nauce języka Rzymian, bo z pewnością nie powtórzę wszystkich szczegółów, zapisanych w dziele poety p. t. „Fastes". Nadmienię pobieżnie, iż i wówczas tańczono — w strojach dość nieskomplikowanych — okładano się rzemieniami po plecach, błagano o lepsze zbiory, a matki... o potomstwo i t. d.

Obyczaje te, aczkolwiek zrodzone na gruncie wierzeń pogańskich, przeniesione zostały do czasów chrześcijańskich. Ojcowie Kościoła zmodyfikowali wprawdzie ich charakter i założenie. Nazwa, którą wówczas dano tym publicznym zabawom, *carnelavamen* (od *carne* — mięso, *lavamen* — znosić), która w następstwie skrócona została na *carnaval* (po polsku mięsopust, później zaś *zapusty),* oznacza radość z pewnych dopuszczonych licencyj — w pierwszym rzędzie w pokarmach, poprzedzających Wielkopostne umartwienia.

Oczywistą jest rzeczą, że podobnie, jak większość publicznych zabaw i obrzędów, najbardziej szumne odbywały się na południu, a zwłaszcza w Italji, jakoże w kraju tym i w Grecji stanowiły odwieczną tradycję.

W średniowiecznym Rzymie zapisano cudaczny zwyczaj urządzania na Corso wyścigów dzieci, starców i... Żydów do mety, gdzie otrzymywali sztukę materji, którą okrywali swą nagość. Nagroda ta, zwana *palio* okupywała razy, któremi okładano zawodników po drodze, a zwłaszcza Żydów, stosownie, rzekomo, do nakazu

...in memoria é in onore
De la flagellazion de Gezu Cristo!

Rabelais i Montaigne, opisując te uroczystości, których byli świadkami w Italji, nadmieniają, że widzowie obrzucali się różnemi przedmiotami — z początku skorupami z jaj, napełnionemi piaskiem, później, dla większej pikanterji, zawartość stanowił pieprz, a wreszcie, gwoli uproszczenia wyrobu tej amunicji, obrzucano się poprostu całemi jajkami lub nawet wszelką włoszczyzną i... śmieciami.

Lubowano się ponadto w Italji inną formą rozrywki, polegającą na widowisku z tracenia przestępców. Orgje, które towarzyszyły tym strasznym scenom, świadczą o wyuzdaniu obyczajów w owym czasie i zupełnym zaniku moralności publicznej. Widzowie, nie mogąc poskromić swych nerwów, wyrywali z rąk oprawców nieszczęsnych skazańców, bawiąc się ich męką, pławiąc się we krwi, a głowy straconych obnoszono z dzikim wrzaskiem po ulicach.

Podobny stan rzeczy zwrócił na siebie uwagę władz, które zmuszone wreszcie zostały zakazać wszelkich obchodów i karnawał w Rzymie został dopiero wznowiony w XVII-m stuleciu. Na miejsce dzikich obyczajów, które cechowały okres średniowieczny usiłowano przyzwyczaić lud do artystycznych widowisk, w formie przedstawień, tańców zbiorowych, korowodów i t. p., które ozdabiano niebywałym przepychem szat i dekoracji.

Opisy tych uroczystości — w których zwłaszcza celowała Wenecja — znajdujemy w licznych pismach znakomitych pisarzów — Byrona, Goethego, Madame de Stael i wielu innych.

„Trudno dać wyraz — pisze pani de Stael — tej gorączce i żądzy zabawy, która opanowuje lud podczas karnawału. Całe miasta są przybrane, a mieszkańcy, w barwnych kostjumach wylegają jak jeden mąż na ulice. Przesada i groteska są powszechnie uznane, jako jedna z zasadniczych cech strojów. Maski, jakie można ujrzeć w Rzymie, są z pewnością jedynemi na świecie, a wzory ich nierzadko zaczerpnięte są — o ile chodzi o trawestację historyczną — ze zbiorów muzealnych. Nastrój tłumu udziela się wszystkim, tym nawet, co postanowiwszy przyglądać się z okien, wnet zbiegają na ulicę, by walczyć zawzięcie garściami confetti i cukrów, na które nikt nie pożałuje grosza. Jedną z oryginalnych zabaw ludu stanowią wyścigi małych koników, *barbieri,* które też lud, pod przykryciem jeno barwnych czapraków, puszczają wśród tłumu, aż oszalałe dzikim wrzaskiem obecnych, same nie wpadną w szał i rwą bez pamięci ku mecie, u której niejedno zwierzę pada z wycieńczenia. Z nastaniem nocy zapalają *moccoli,* świeczki, zastępujące dziś niebezpieczne pochodnie, a zabawa polega na usiłowaniu gaszenia sobie wzajemnie świateł".

Nie mniej hucznie obchodzono karnawał we Francji. „Maskarada warjatów", której przewodził w przebraniu dzikusa król Karol VI, zakończona została tragicznie, gdyż swawolny monarcha, harcując wśród szpaleru zapalonych pochodni, spalił się żywcem. Henryk III ze swoją świtą, t. zw. *mignons* dawał upust swej fantazji, grasując wśród dzielnic, zamieszkałych przez czcigodnych mieszczan, którym srodze a bezkarnie dokuczał, jak zwykły żak. Poważny Henryk IV przewodził osobiście korowodowi „czarowników", a Ludwik XIV, co wszystko usiłował przyoblec w największy splendor, zainicjował wspaniałe bale maskowe, nie wzdragając się tudzież od bardziej gminnych zabaw, na które uczęszczał w ścisłem incognito. Licencja panowała wówczas ogólna, byleby pragnący brać udział w zabawie przybył w przebraniu. Kronikarze współcześni opowiadają, iż pewnego razu, podczas balu dworskiego, wszedł na salę osobnik przebrany... za paralityka, a podstawą jego stroju była stara, wypłowiała kołdra. Nieznajomy podszedł prosto do księżny burgundzkiej i zaprosił ją do tańca, którego, gwoli harmonji zabawy i pokonywując odrazę, nie odmówiła mu. Komentując ten wypadek, autor słynnej podówczas historji tańca, Bonnet powiada, iż „wejście na bal maskowy powinno być po dwunastej dozwolone każdemu, a zwyczaj, który wielcy panowie starają się zaprowadzić — rozsyłania zaproszeń, gwoli kontroli uczestników, jest wysoce niewłaściwy i sprzeczny z zasadami powszechnej wolności i instytucją samą balów maskowych". Ludwik XV rozszerzył ramy dorocznych obchodów karnawałowych, otwierając dla zabaw tanecznych podwoje Opery. *Le bal de l'Opera* jest tradycyjną zabawą, która przetrwała z krótkiemi przerwami aż do czasów dzisiejszych.

Melancholijni romantycy nawet, jak Alfred de Musset nie zdołali odstręczyć mieszkańców Paryża od brania udziału w zabawach karnawałowych. Oto co pisze poeta po jednym z balów w Operze: „wszystkie atrakcje balu maskowego — intryga, spacer, możność powiedzenia czegośkolwiek i wszystkiego, co przyjdzie do głowy, czar ucuć i dowcipu, szału i tajemniczości — wszystko umarło. I w ten sposób musiał tylko myśleć ktokolwiek był obecny na ostatnim balu, w ponurej i grobowej sali Opery".

Nie mniej jednak bawiono się zawsze ochoczo, a w r. 1832, kiedy w stolicy Francji panowała epidemja cholery, straszna zaraza rozszerzyła się z jeszcze większą siłą, gdyż zaniechano środków ostrożności, któreby mogły ludności zepsuć karnawał.

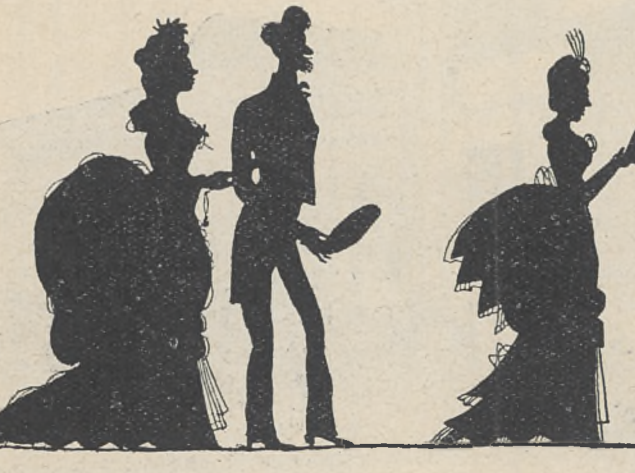
Obyczaje karnawałowe przywędrowały do Polski z obcych krajów, a historycy przypisują pojawienie się „imć Pana Zapusta — króla mantuańskiego" czasom królowej Bony. O obcem pochodzeniu zapustów dowodnie świadczy skądinąd starodawna piosenka, przy której wodzono imć pana Zapusta od dworu do dworu, po całem Mazowszu i Krakowskiem:

„Idę z dalekiego kraju
Gdzie psi ogonem szczekają,
ludzie gadają łokciami
a jedzą uszami.
Słońce o wschodzie zachodzi
a kurczę kokosze rodzi,
Każdy naopak gada
a deszcz z ziemi do nieba pada".

Ciekawy rys zabaw ludowych przynoszą nam stare kroniki krakowskie. Swawolnym obchodom przewodziły zwłaszcza mieszczki, powystrajane na „Panie", na których czele stawała „mądra Maryna". Nie będę powtarzać dość frywolnych piosnek, któremi czarowały przekupki, „clou" wszakże zabawy polegało na zaczepianiu przechodniów z głośnym okrzykiem „Comber, Comber!", żądając okupu.

Dworskie, a za przykładem dworu publiczne zabawy „maszkaradowe" datują się od czasu Władysława IV-go, podczas których, jak twierdzą, stworzono dla grubego monarchy stateczniejszy taniec, zwany polonezem „iżby wraz z poddanemi swemi mógł zabawy używać".

Charakterystycznym, a świadczącym o gościn-



Sylwetki karnawałowe z 70-ych lat ub. stulecia.



Swawolne wyjście z maskarady (według sztychu Chodowieckiego).



ności staropolskiej, obyczajem był kulig — miła zabawa, której nazwę zapożyczono od Tatarów, jakoże była formalnym najazdem dworów na dwory. A zwyczaj nakazywał gospodarzowi nie czynić wstrętu miłym gościom, przeciwnie nawet — oddawał im klucze od spiżarni i piwnicy, aż i jego, wraz z całą rodziną i domownikami nie zawiozą do innych sąsiadów.

Nadeszły jedynie ciężkie terminy dla naszego kraju. Lecz nic nie zdołało powstrzymać lekkomyślnej swawoli, która ze wszystkiemi wolnościami coraz bardziej opanowywała umysły.

Trudno... Ponoć lekkomyślność zawsze była przyrodzoną naszą wadą, tak samo zresztą, jak bohaterstwo i poświęcenie naszą zaletą.

I choć jabłońskie „szlichtady“ karnawałowe ks. Józefa i zabawy „pod Blachą“ budziły wśród naszych wrogów uśmiech politowania, książę „Pepi“ dowiódł niezbicie, iż był jednym z największych synów Ojczyzny — bohater, nad bohatery!

Takimi nas stworzono, iż kiedy nawet za czasów księstwa Warszawskiego, stolica była zapełniona rannymi, bawiono się na umór, lecz nie rzadko kawaler prosto z balu wskakiwał na konia i dopędzał pułk w pochodzie na wroga.

Cokolwiek nam los zwiastuje
Zawsze Warszawa tańcuje...

stwierdza z goryczą Niemcewicz.

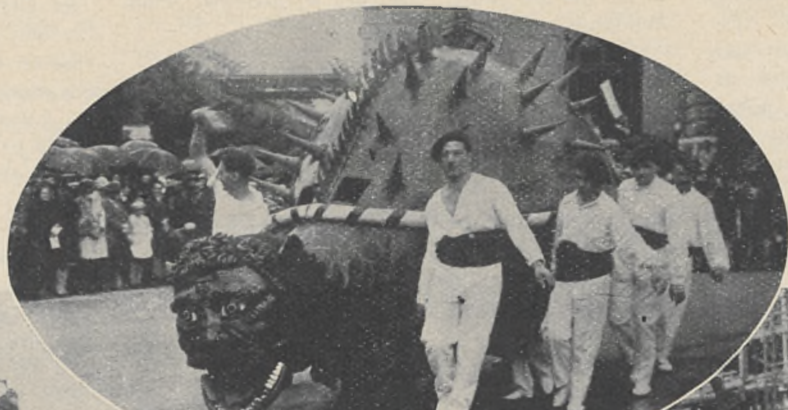
Bawiono się w stolicy — nie mniej hucznie również bawiono się na prowincji. Przykładem choćby Wilno, gdzie, jak twierdzi Stanisław Morawski, panicze trwonili magnackie fortuny, przedkładając uśmiech damy nad „martwe dusze“.

Kilka słów wreszcie o zwyczajach redutowych. Okazuje się tedy, iż jedną z ulubionych zabaw, było odgadywanie osoby, ukrywającej się pod maską przez wypisywanie na rękawiczce ofiary (c'est le mot!) domniemanego imienia i nazwiska. Nie trudno sobie wyobrazić, jak pod koniec balu wyglądały owe rękawiczki. W innym znowu okresie moda nakazywała, by szlachetnie urodzeni wchodzili na salę z maską, zawieszoną u pasa i bawili się widokiem zamaskowanych plebejuszów. Dostojne zachowanie obowiązywało wszakże tylko do godziny drugiej — szlachetne damy opuszczały wówczas sale redutowe, a młodzież, odprowadziwszy je do domu, skwapliwie wracała na bal, bawiąc się bez ogródek z mieszczkami do białego rana.

Reduty dzisiejsze... Choć niema, zdawałoby się, przyczyny, byśmy się smucili, choć niejeden radby się zabawić w okresie karnawału, przychodzi to z coraz większym trudem. Z każdym rokiem niemal warunki stają się cięższe, a że „wysadzić się“ lubimy, więc wolimy, wyznajmy to otwarcie i niezależnie od tych lub innych warunków gospodarczych, tańczyć codziennie, nie czekając na karnawał, nawet podczas Postu...

Dancing, jazz i murzyn — oto signum temporis naszych dni...









Tradycyjny pochód w mieście Tarascon (poł. Francja) z fantastycznym zwierzęciem zw. „la tarasque“ (u góry). Pochód karnawałowy, którym szczyci się Nizza (z lewej strony). Kalwakada karnawałowa w Renanji (z prawej strony).

ST. OSIŃSKA.

ANONIM.

Chodzi sobie po świecie jeden człowiek w czapce listonosza, z torbą przewieszoną przez ramię. Jest zmęczony, nogi go bolą, więc wcale nie myśli o tem, że jego torba — to zwiastun złych i dobrych wieści, radości i wesela, nadziei i rozpaczy. Chodzi sobie po świecie, a w torbie jego trzepoczą się i szeleszczą listy małe i duże, wesołe i smutne, wytworne, pachnące bileciki i proste, gładkie koperty. Niektóre niecierpliwią się, chcąc jaknajprędzej wydostać się z torby, pachnącej skóry i widokiem swoim wywołać uśmiech radosny. Inne znowu kryją się głęboko, wstydząc się samego faktu swojego istnienia. Wiedzą one, że są zwiastunem niepokoju i zmartwienia, że czarne literki, któremi są pokryte, wywołują łzy i smutek. Więc chowają się pod wesołemi, roześmianemi swemi siostrzycami... Ale nielitościwa ręka przeznaczenia w osobie listonosza wyjmuje je z ukrycia...

A potem odchodzi sobie taki zwiastun szczęścia lub niedoli i wcale nie myśli, ile smutku sprawił jednym, małym listem...

Dnia tego zadzwonił on do mieszkania pp. Porwiców, szukał długo w swojej torbie i wreszcie z tryumfalną miną wręczył służącej małą, zieloną kopertę.

— Tak się ta niecnota schowała, że znaleźć jej nie mogłem — mruknął.

— Zielony kolor — pomyślała służąca — oznacza nadzieję. Ucieszy się pewnie moja pani.

Ale pani nie ucieszyła się bynajmniej. Była właśnie zajęta oglądanie nowego żurnalu, z którego przy pomocy krawcowej chciała wybrać fason na nową suknię balową. Była bardzo niezadowolona, że tegoroczna moda każe zakrywać nogi, których zazdrościły jej wszystkie przyjaciółki. Przytem te długie suknie wymagają wiele materjału, a Julek jest bardzo skąpy i na karnawałową sukienkę przeznaczył tak śmiesznie małą sumkę, że doprawdy nie wiadomo, jak wybrnąć z tego kłopotu.

Nieznośny jest ten Julek! Niby pracuje ciągle w biurze, teraz wziął znowu jakieś popołudniowe zajęcie, a ciągle twierdzi, że ma zbyt mało pieniędzy! Pan Witold wcale tak wiele nie pracuje, a ma auto, śliczną „chałupkę“ na kolonji Lubeckiego i dwa razy do roku wyjeżdża zagranicę. O! Spryciarz z niego nielada i... ma takie ciekawe spojrzenie...

Ostatecznie ten Julek jest bardzo dobry, poczciwy, ale ciągle gderze, narzeka, jest taki nudny i niezaradny! A jak go kochała, wychodząc za niego za mąż przed 7-ma laty!

— Wszystko dla ciebie zrobię, malutka moja Ado — szeptał jej do ucha — Twoja miłość doda mi bodźca, stworzy cuda. Zbuduje mojej ślicznej pani pałac zaczarowany, zarzucę jej na ramiona szatę, utkaną z uwielbienia i uśmiechu boginek.

Zamiast pałacu — marne mieszkanie z widokiem na brudne podwórze. Zamiast szat z bajki — walka o każdą niemal parę rękawiczek.

Zniechęcona odprawiła krawcowę i rozerwała zieloną kopertę.

„nie jest to moim zwyczajem pisanie anonimów — głosiły czarne litery na zielonym arkuszu papieru — ale moje nazwisko jest pani zupełnie nieznane. Uważam jednakże za swój obowiązek zaznajomić panią z faktem, że mąż jej spędza codziennie godziny od 6 do 8 pp. w rozkosznem gniazdku przy ul. Pięknej Nr. 108, w towarzystwie młodej osoby, pod żadnym względem na szacunek nie zasługującej.

Życzliwa“.

— Anonim — pomyślała w pierwszej chwili pani Ada i z niesmakiem odrzuciła zielony liścik.

Julek miałby ją zdradzać? Ten poczciwy, trochę niezdarny Julek? Najpierw jest w niej tak zakochany, że na żadną kobietę nie spogląda. Pieniędzy też zbyt wiele nie posiada, a o wolnym czasie mówić nie potrzeba. Wszak od 4 miesięcy przyjął to popołudniowe zajęcie...

Właśnie! Dopiero w tej chwili pani Ada zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie się mieści owe biuro, w którem jej mąż spędza codziennie kilka godzin. Sięgnęła po list... „od 6 do 8 pp.“ Wychodzi zwykle przed 6, a wraca około 9 wieczorem...

Raz jeszcze przeczytała list. „Młodej osoby, pod żadnym względem na szacunek nie zasługującej...“ Któż to może być? Jakaś szwaczka, aktoreczka... Julek i zdrada! Śmiechu warta ta cała historja.

Jednakże jakieś myśli tłoczą się do głowy, nieznośne, złe, męczące myśli... A może zielony list mówi prawdę?

— Zapytam Julka — postanowiła.

Zerwała sę, podbiegła do telefonu, ujęła słuchawkę i... jeszcze prędzej odłożyła ją z powrotem.

Jaka ona głupia! Przecież Julek prawdy i tak nie powie! Łzy zabłysły w czarnych oczach. Jaka ona nieszczęśliwa! Tak kocha męża, tak dba o niego, tak się stara i w nagrodę...

Prędko zapomniał o swojej maleńkiej Aduni, kiedy zaledwie po 7-u latach zaniedbuje ją, zdradza... Rozwiedzie się. Napewno. Zaraz pójdzie do adwokata, pokaże list. Nie chce być kulą u nogi człowiekowi, który udając niby miłość, spędza codziennie kilka godzin w towarzystwie „osoby pod żadnym względem na szacunek nie zasługującej“.

Ubrała się pośpiesznie. Tak. To będzie najlepiej.

A może lepiej najpierw sprawdzić? Przecież i adwokat nic będzie mógł prowadzić sprawy na zasadzie anonimu. Sprawdzić? To znaczy iść na ulicę Piękną, spytać stróża, lub śledzić męża, gdy wychodzi popołudniu z domu... Nie. Tego uczynić nie jest w stanie. Na to jej duma i ambicja nie pozwalają.

Można oszaleć.

Zaczęła płakać, jako że łzy, piekące łzy, chociaż znaczą rylcem czasu brózdy na twarzy, są czasem chwilową pociechą i ukojeniem. Ale kiedy ostatnia łza ukończy swoje dzieło zniszczenia i czerwoną obwódką otoczy spokojne i wesołe niedawno oczy, zmartwienie występuje z większą jeszcze siłą.

Kogo się poradzić? Przyjaciółki? Nie wierzy. Matce nic nie powie. Nie chce jej martwić. Panu Witoldowi...

A może panu Witoldowi?..

Uśmiechnęła się niepewnie. Poco? Żeby jeszcze raz usłyszeć, że jest „najpiękniejszą z kobiet i że jego chałupeczka ciągle czeka na zaszczytne odwiedziny przemiłej pani Aduni...“

Głupiec! Umie tylko robić pieniądze! Och! Nie zamieniłaby go na swego Juleczka, nie! Jakże mógł jej się chociaż przez chwilę podobać...

— Nic Julkowi nie powiem — zdecydowała się wreszcie. — Poproszę go tylko, żeby rzucił to swoje nieznośne zajęcie.

A jeżeli się nie zgodzi? Jeżeli nie zechce? Można naprawdę oszaleć!

Czas do obiadu wlókł się niesłychanie wolno. Wskazówka zegara poruszała się leniwie. „Osoba na szacunek niezasługująca“, miłośnie wtulona w ramiona niezdarnego trochę Julka, napawała ją strachem i niepokojem. Na spokojnym dotychczas horyzoncie życia pani Ady, pojawił się nieznany jej do tej pory lęk, który rósł, rósł i olbrzymiał...

Gdy wreszcie jednak usłyszała znajomy zgrzyt klucza, otwierającego zatrzask, pręciutko upudrowała się, uśmiechnęła do siebie w lustrze i z pozornie wesołą miną pośpieszyła powitać powracającego do domu męża.

Podczas obiadu pani Ada obserwowała go bacznie, pragnąc coś wyczytać z jego twarzy. Ale twarz ta oprócz zmęczenia nic innego jej nie powiedziała. Po obiedzie, siedząc w gabinecie w ulubionym swoim fotelu i pijąc czarną kawę z małej filiżaneczki, przypuściła atak.

— Źle wyglądasz kochanie — zaczęła.

— Jestem zmęczony — odpowiedział, czytając gazetę.

— Uważam, że niepotrzebnie męczysz się temi wieczorowemi zajęciami — ciągnęła dalej. — Zarabiasz przecież dobrze, a ja wolę się ograniczyć w wydatkach, ale nie chcę, żeby mój mężuś miał takie sińce pod oczami.

— Zdaje ci się — odparł ze zdziwieniem, odkładając gazetę.

Przecież pani Ada dawno już przestała się interesować wyglądem swojego męża.

— Nie zdaje mi się. Wszyscy zwracają uwagę na twój zły wygląd. Cóż znaczy te parę groszy w porównaniu ze zdrowiem!

Wypiła duszkiem czarną kawę i zbliżyła się do męża.

— Nie chcę wyjazdu do Zakopanego, nie chcę nowej sukni na karnawał, nie chcę niczego, ale Juleczkowi nie pozwolę się tak męczyć!

— Skąd raptem taka troskliwość? — zdziwił się mężczyzna. — Przecież do tej pory nigdy ci na myśl nie przychodziło troszczyć się o moje zdrowie i byłaś bardzo zadowolona, gdy otrzymałem dodatkowe zajęcie. Uważałaś sama, że siedzenie przy biurku, to nie taka znowu ciężka praca.

— Wcale nie — oburzyła się. — Już dawno chciałam z tobą pomówić o twojej pracy, ale przecież ciebie nigdy w domu niema, taki jesteś biedaku mój zajęty! Jeżeli mnie kochasz Juleczku, rzucisz to obrzydliwe popołudniowe biuro, położysz się po obiedzie, prześpisz, odpoczniesz...

I sama zaczęła wierzyć, że dawno już podobne myśli przychodziły jej do głowy, że zawsze tak bardzo kochała swojego Julka. Zapomniała o zielonym liście, o grożącem jej niebezpieczeństwie, o łzach, o zmartwieniu, cała pochłonięta nowem, świeżem uczuciem, budzącem się z głębokiego snu, pod wpływem niepokoju, który wkradł się do jej serca.

— Popatrz mi w oczy kochanie — powiedział łagodnie mąż. — Więc naprawdę moja mała Ada woli ograniczyć się w wydatkach, woli zrezygnować z wielu rzeczy, tak jej zależy na zdrowiu jej Julka?

— Zgadzasz się! — zawołała z radością.

— Tak — odpowiedział z ustami na jej ustach.

A gdy znacznie później chciała wrzucić zielony anonim do ognia, wzrok jej padł na kopertę, zaadresowaną... do Ady Porwicowej, mieszkającej na tej samej ulicy, lecz pod innym numerem.

— Biedaczka — pomyślała i z beztroską radością ludzi naprawdę szczęśliwych, bez namysłu rzuciła zielony list w otchłań zniszczenia i zapomnienia.

Juljan Porwic nigdy się nie dowiedział, że wskrzesiła w sercu żony gasnące już uczucia.., omyłka listonosza.



GRETA GARBO

GODZINY PRZEZNACZEŃ

(Copyright by „7 dni")



GRETA GARBO *(fot. Metro-Goldwyn-Mayer)*

Chcielibyście się dowiedzieć o godzinach, które zdecydowały o mojem życiu? Upewniam was, że pytanie to wprawia mnie w niemały kłopot. Wierzcie mi, że owe przełomowe chwile przychodzą nieoczekiwanie i niewróżą sobą nic na przyszłość. Istnieje przekonanie, że dodają one bodźca do dalszej pracy, że z góry się wie, co one przeznaczają — jednakże tak nie jest.

W momencie kiedy nadchodzą, nic z siebie nie dają — dopiero znacznie później.

Wybaczcie kobiecie, od której wszystkiego innego spodziewalibyście się, a nie jakiegoś mędrkowania, czy też filozoficznych rozważań. Wybaczcie i bądźcie przekonani, że nie rozwaga mi je dyktuje ale długoletnie doświadczenie.

* * *

Było to dawno. Byłam wtedy dopiero młodą debiutantką królewskiego teatru w Stockholmie, kiedy dowiedziałam się, że wielki nasz reżyser Maurycy Stiller postanowił stworzyć „Göstę Berling". Poszukiwał aktorki, któraby mogła zagrać rolę pierwszej naiwnej. Oczywiście zapragnęłam otrzymać tę rolę. Ale skoro ją nareszcie otrzymałam, nie czułam się upojoną powodzeniem. Moja godzina przeznaczenia ciągnęła się w nieskończoność. I wcale tak nie było, jak to pięknie głoszą filmowe legendy, że odkrywca nowej gwiazdy wykrzykuje w upojeniu: „Ta, albo żadna!" Nie! Wielki Stiller był człowiekiem bardzo trzeźwym i nigdy nic nieobiecywał swej wybranej, nawet jeżeli zdołał w niej odkryć talent, aż dopóki sama, przez swą wytrwałą pracę, nie zdobyła sobie imienia gwiazdy. Dawniej również nie próbowano kandydatek do filmu w ten sposób, jak to dzisiaj robią, kiedy każą jej stanąć przed objektywem i na zmianę: śmiać się lub płakać, przechadzać się dumnym krokiem, czy też udawać zgnębioną. Próby odbywały się podobnie jak w teatrze, a dopiero kiedy wszystko było przygotowane, zapalano jupitery i film nakręcano. Trzeba było oszczędzać taśmę. Miałam sposobność obserwować aktorki, które grały razem ze mną. Miały one sławne nazwiska i... dlatego dobrze wyglądały na filmie. A ja... tylko dobrze wyglądałam. Jednakże nie to kierowało Stillerem. Największym moim atutem była moja młodość. Miałam wtedy dopiero 16 lat. Wiosna mego życia. I nie oburzajcie się, że jestem zmuszoną obedrzeć ten mój jedyny aut, z uroku filmowego romantyzmu. Zostałam przyjętą do filmu, ponieważ nie było innych kandydatek. Dla jednej, rola była zbyt małą, druga nie miała czasu, ponieważ studjowała wtedy swoją rolę, do jakiejś wielkiej sztuki Ibsena i dlatego niewidziała w filmie żadnego dla siebie interesu. A wtedy, faktycznie, interesy filmu były bardzo niepewne. Natomiast czas i interes miały takie debiutantki, jak np. ja.

„Gösta Berling" była prawdziwym triumfem szwedzkiego filmu, a miałam to wewnętrzne przekonanie, że chociaż w drobnej części przyczyniłam się do tego triumfu. Sukces jaki odniósł na całym świecie bohaterski romans Selmy Lagerlöf stał się prawdziwym sukcesem dla filmu. Największą zasługę należy tutaj bezwzględnie przypisać Stillerowi, który swoją reżyserję posunął w dziedzinę prawdziwego artyzmu i który zaryzykował bardzo niebezpieczny eksperyment. Oto wyświetlił film w dwóch serjach, przez dwa następujące po sobie wieczory. Ludzie fachowi orzekli wtedy, że nigdy im nawet przez myśl nie przeszło, żeby eksperyment ten się udał. Ryzyko było szalone, ale zato zwycięstwo kompletne.

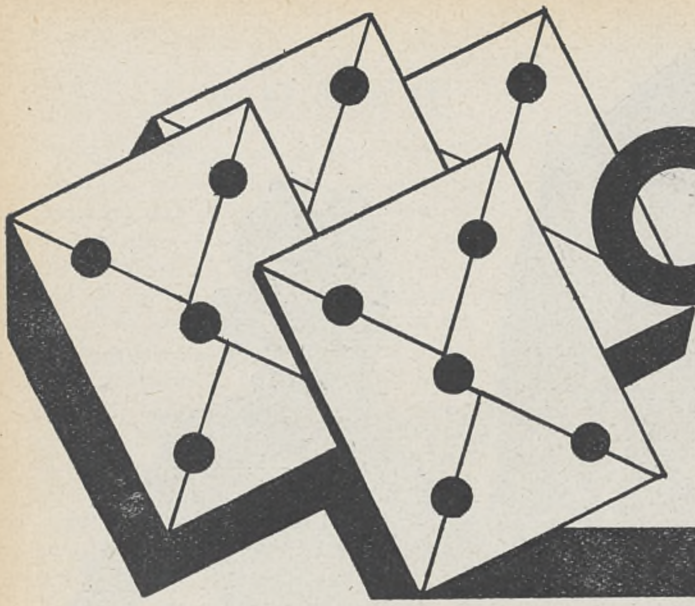
A teraz inny moment z mego życia, który również nazywam godziną przeznaczenia. Swojego czasu dużo pisano o mojej nieszczęśliwej ekspedycji wschodniej. I dziwnym zbiegiem okoliczności opowiadania te były bardzo zbliżone do moich prawdziwych, pełnych romantyzmu, przeżyć, które wpadały nieraz w dziedzinę rzeczy nieprawdopodobnych. I nadeszła wtedy dla mnie wielka godzina przeznaczenia, godzina, która zadecydowała o karjerze całego mojego życia. Nie przeczuwałam wówczas, że niewyświetlenie tego wschodniego filmu, który napewno byłby przyjęty przez publiczność przychylnie, było moim prawdziwym szczęściem. Gdyby bowiem film ukazał się na światło dzienne, nigdy nie byłabym zaangażowana do wytwórni amerykańskich.

Sądzicie, że to jest kobieca logika?

Upewniam was, że nie. Nigdy nie potraficie sobie wyobrazić, ile musiałam przecierpieć, zanim zostałam „Anną Kareniną". Przyczyną tego byli nasi mądrzy kierownicy, którzy różnili się ogromnie w swych zdaniach. Jeden twierdził, że Tołstoj jest dla Ameryki nieodpowiedni, drugi, że Tołstoja w Ameryce zrozumieją, ale do filmu się nie nadaje, wreszcie trzeci, że Tołstoj jest idealnym romansopisarzem dla filmu, ale właśnie „Anna Karenina" zupełnie się nie nadaje. Kiedy jednak „Anna Karenina" zwyciężyła publiczność New Yorku, Bostonu, Filadelfji, Chicago, San Francisco i Los Angelos, najbardziej byłam zaskoczona wraz z moim partnerem Johnem Gilbertem, z którym, planowałam, po ewentualnym fiasku naszego występu w tym filmie, zakopać się na jakiejś gluchej farmie i chodować kury.

Dowiedziałam się, że niedługo zostanie wyświetlony w Polsce mój film p. t. „Dzika Orchideja". Oczekuję na ukazanie się jego na ekranach polskich z wielkim niepokojem i pragnęłabym znowuż przyjemnie się rozczarować.

JANUSZ MEISNER (2)



CZWARTA KOPERTA

(Ilustrował Jerzy Radlicz)

Streszczenie poprzedniego rozdziału.

Polak, pilot Konarski znalazł się w małym garnizonie angielskim w Czang-Ha-Fu, gdzie został przyjęty do angielskiej eskadry. Powierzają mu dotarcie z tajnym rozkazem do Nankinu. Przelot jest niebezpieczny, ponad zrewoltowanemi wojskami Czang-Kai-Szeka.

Jednomiejscowy samolot myśliwski Bristol C, E. VII z silnikiem Napier-Lyon, jest bezwątpienia jedną z najlepszych maszyn swego rodzaju. Szybki i bardzo zwrotny, posiada zasięg około 800 klm, które pokrywa w ciągu niespełna czterech godzin na zredukowanym gazie. Przytem siedzenie dla pilota jest bardzo wygodne, w przeciwieństwie do innych płatowców wojskowych, które pod tym względem bynajmniej nie grzeszą komfortem. W Bristolu C. E. VII siedzi się, a raczej leży na sprężynowych poduszkach i oparciu pod plecy niczem w luksusowym samochodzie. W normalnych warunkach można odbyć w nim kilkusetmilową drogę bez zbytniego zmęczenia i, wysiadając z maszyny, nie czuć się połamanym wskutek długotrwałego bezruchu w jednej pozycji.

Wszystkie powyższe zalety odczuł Konarski już po godzinie lotu w górę koryta Szang-Kjang. Był w doskonałem usposobieniu, które ogarnęło go nagle po nieoczekiwanem zajściu z agentem Czang-Kaj-Szeka przebranym za rikszę. Czuł posmak emocji, którą przesycona była cała ta eskapada do Nankinu. Już na samym wstępie mogło się skończyć fatalnie; ale właśnie dlatego, dla tej wielkiej Przygody, zaczajonej na każdym kilometrze drogi, w każdej dolinie i na każdym zakręcie koryta rzeki, warto było zagrać partję o życie, które już zaczynało stawać się zbyt monotonne, w odciętym od świata garnizonie Czang-Ha-Fu.

Konarski wystartował z lotniska jako drugi, zaraz po Bigh'u, i, wziąwszy kierunek na północ, gnał przed siebie tuż pod gęsto zwisającemi chmurami, pełnemi deszczu, spychany na zachód coraz silniejszym podmuchem wiosennego mussonu. Nie dolatując do Tung-Ting, którego żółtych wód i tak nie mógłby dostrzec na niskim horyzoncie poza miotłami ulewnego deszczu, skręcił na wschód, aby rwać dalej w pierś wiatru, smagającego wilgotnemi muśnięciami ziemię.

Z szerokiej doliny Szang-Kiang dostał się teraz między strome i skaliste zbocza, w ciasne przesmyki, przykryte z wierzchu nieprzebitą warstwą mgły i chmur. Miejscami było tak ciasno, że zaledwie po parę metrów dzieliło go od skał z każdej strony skrzydeł płatowca. Gdy jar skręcał nagle w prawo lub w lewo, maszyna gwałtownie kładziona do wirażu, ocierała się niemal o zbocza. Czasami wąwóz podnosił się w górę, dochodząc prawie do pułapu chmur i wtedy trzeba było przemykać się tuż pod niemi przez niskie okna, ryzykując uderzenie o skały. W pewnem miejscu, po przelocie nad szerszą nieco doliną pól ryżowych, środkiem której wiła się szosa, pilot znalazł się w pułapce: droga zaprowadziła go wąskim przesmykiem aż do prostopadłej ściany, zgubionej swym szczytem w przesłonie gęstej ulewy. Jar i droga stanowiły dno przepaści pod ową ścianą skalną, w której przebity był tunel. Na 30 mtr. przed jego otworem, Konarski wykonał rozpaczliwe „ w tył zwrot" o nieprawdopodobnie krótkim promieniu i, uniknąwszy zderzenia, wrócił do zdradliwej doliny, aby znaleźć inne wyjście.

Wkrótce potem, przelatując obok miasta Lu-Kan, otrzymał ze trzydzieści kul z karabinów maszynowych w skrzydła i kadłub. Jedna z nich, trafiając w przewód od smaru i uszkadzając go dość poważnie, rekoszetowała prosto w busolę, z której został jedynie bezużyteczny już cylinder z pogiętym pływakiem.

Konarski miał wielką ochotę dać porządną nauczkę chińskim maszynkom za tę niepowetowaną stratę ale powstrzymał się i posłał im tylko szczerze polskie, siarczyste przekleństwo.

Po dwóch godzinach lotu, z niecierpliwością zaczął wyglądać ukazania się mulistego koryta Jan-Tse-Kjang. Ale ciągle jeszcze otaczały go góry. Chwilami myślał, że błądzi, bo mapa, według której się orjentował, była bardzo niedokładna. Przytem kilkakrotnie musiał zbaczać z wytkniętej drogi, aby przebić się przez zwały deszczowych obłoków, zwisających aż do ziemi.

To też, gdy wreszcie oczom jego ukazała się rozległa przestrzeń bez większych wzniesień, pokryta zielonemi polami ryżu i rozcięta pośrodku szerokiem rozlewiskiem rzeki, odetchnął z ulgą. Wkrótce już jednak pożałował gór: niskie i ciasne doliny, otoczone grzbietami skalnemi były względnie zaciszne. Tu, na wolnej, niczem nie osłoniętej równinie, wiatr szalał z iście warjacką furją. Podsadziwszy się pod skrzydła maszyny, niby potężny tłok, musson wypychał ją w górę, wciskał między zwarte kożuchy chmur, nie dopuszczał do poziomego lotu. Nagle, zmieniając nurt, przepadał gdzieś z pod płatów nośnych i wtedy Bristol walił się w dół, jak głaz, wrzucony w studnię, póki nie trafiał na nowy poryw. Taśmy nośne klaskały i dzwoniły, zanosiły się rozpaczliwem wyciem, spazmowały, skomliły, piały z wysiłku. Na podziurawionych płatach skrzydeł płótno zaczynało siepać się i marszczyć niepokojąco.

Deszcz schodził wciąż niżej i przesłaniał widok szarym pyłem wilgoci, niby rodmuchanym z wygasłego ogniska popiołem. Ulewy szarżowały od wschodu wyciągniętymi w nieskończoność szwadronami, gnane potężnem tchnieniem ciepłej wichury z morza. Powietrze stało się półpłynnym żywiołem o mlecznej lub szarawej barwie. Było prawie dotykalne i coraz mniej przezroczyste, a przytem pędziło z niewstrzymaną mocą wprost na warczący samolot, zatrzymywało go, jakgdyby lepiąc się u sterów i stójek, ciągnąc, szarpiąc w tył, na zachód. Minuty zapadały zwolna w nicość. Ciężko wlokły się kwadranse, wygwizdywane rozpaczliwą skargą nośnych taśm pomiędzy płatami skrzydeł.

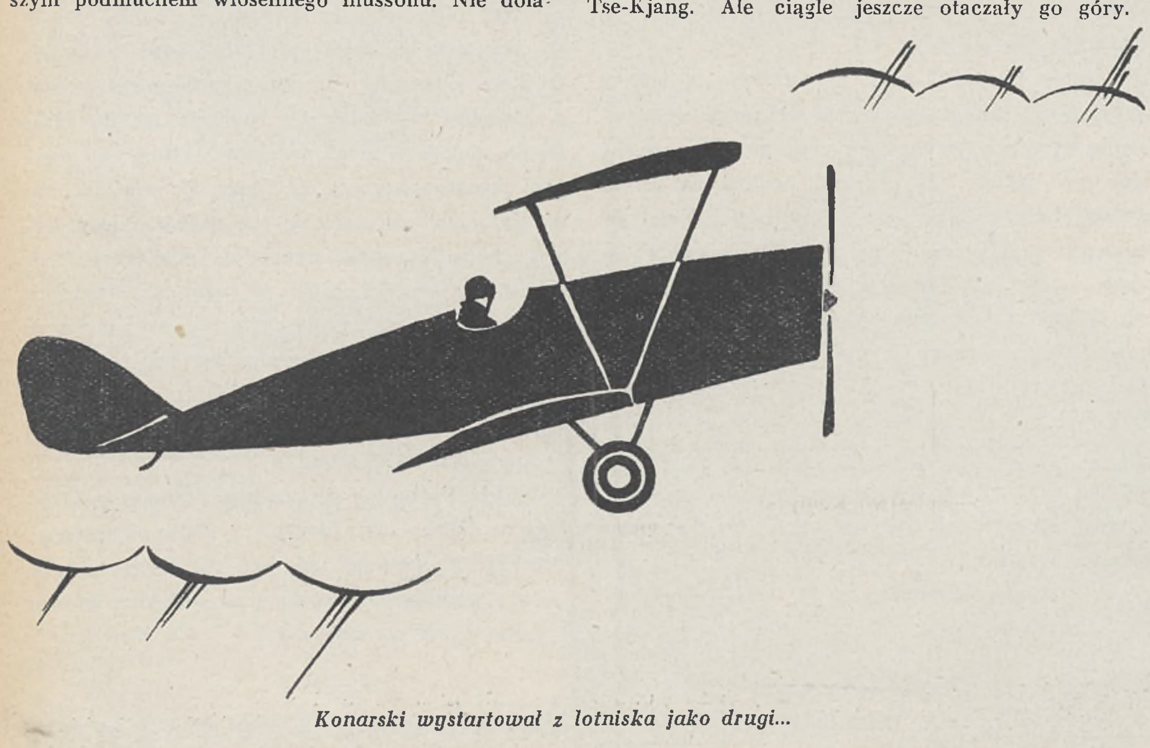
Samolot parł naprzód, drgając konwulsyjnie, kładąc się na burty i wstając z trudem do linji lotu, podrzucany, tarmoszony i szarpany wirami. Zdawał się być chwilami zdany na łaskę wichru. Nie starczało lotek i sterów dla sparowania ciosów. Ale zaraz potem dumnie powracał do równowagi, zdobywając kilometr po kilometrze przestrzeni, wbijał się w ścianę wichru, zwyciężał!

Tylko pilot wiedział, że mimo wszystko już wkrótce ulegnie; z przestrzelonej rurki — przez szmatę, którą Konarski obwinął uszkodzony przewód — ciekł smar... Gorące jego krople spływały sennym, oleistym rytmem na pokład, tworząc marszczącą się od podmuchów pędu kałużę. Wskazówka manometru pulsowała gorączkowo, schodząc wciąż niżej ku zeru. Silnik zaczynał się grzać.

Konarski obserwował te objawy z zaciętą, ponurą złością. I cóż, gdyby tak koperta, którą mu wręczył Mc. White zawierała istotnie tajny traktat prowincji Kan-su? Napróżno upewniał sam siebie, że to niemożliwe. Teraz bardziej niż kiedykolwiek skłonny był przypuszczać, że się mylił. Misja, którą mu powierzono, zdawała się stać nad krajem ostatecznego niepowodzenia. Po przebyciu połowy drogi maszyna odmawiała posłuszeństwa, pilot ulegał losowi, obezwładniony w nierównej z nim walce.

Niemal pragnął teraz, aby ta nieszczęsna koperta była pusta. Wiele dałby za możność upewnienia się o tem. Poprzedni żal o brak zaufania ze strony dowództwa zmienił się na trwożliwą nadzieję i gorące pragnienie, żeby tak właśnie było. Konarski stracił całą pewność siebie i zwykłą energję. Leciał dalej, ponieważ na nic innego nie mógł się zdobyć w tej chwili.

Postanowił tak lecieć aż do zupełnego wyczer-



Konarski wystartował z lotniska jako drugi...

pania zapasu oliwy, a potem — — — Nie zastanawiał się, co potem...

Okolica, nad którą leciał, pełna była wojska. Kantońskie chorągwie Czang-Kaj-Szeka powiewały na dachach miasteczek i wsi. Po drogach włóczyły się gęste patrole. Wylądować w tych warunkach — to znaczyło oddać dyplomatyczną pocztę do rąk nieprzyjaciela.

Jedyny ratunek znajdował się daleko na północo-wschodzie w postaci eskadry wywiadowczej w Nian-King-Fu. Tam należało dotrzeć za wszelką cenę, ale było mało prawdopodobne, aby smar nie wyciekł wcześniej.

— Ostatecznie — bez względu na to, co zawiera koperta — pomyślą w Czang-Ha, że ich zdradziłem — powiedział sobie z rezygnacją. — Po jakiego więc licha pchać się dalej? Czy nie lepiej wylądować obok pierwszego z brzegu miasta i, spaliwszy maszynę razem z kopertą, gwizdać na wszystko i wszystkich?

Spojrzał na strzałkę manometru. Wskazywała jeszcze 1,5 kg. ciśnienia. W dali, na prawo, u podnóża gór, pstrzyły się kolorowe ściany domów jakiegoś większego osiedla. Konarski odszukał je na mapie. To było niewątpliwie Hu-Kou. Z daleka tylko wyglądało na coś mniejszego.

Jakoż, gdy minął łagodny stok wzgórza, po prawej stronie Jan-Tse-Kjang ukazał się jego oczom miljonowy port rzeczny z całą flotyllą dżonek u brzegu i nieprzeliczonem mnóstwem rojących się po ulicach ludzi.

Konarski zawahał się:

— Lądować?

Po wschodniej stronie miasta zobaczył gładkie, obszerne pole.

Wtem drgnął. Z nad pola zrywał się do lotu czarny, brzęczący owad. Za nim drugi, trzeci, czwarty i piąty. Klucz samolotów wykręcał wpół wiatru, przecinając kurs Bristola pod ostrym kątem.

I nagle wszystkie poprzednie myśli pilota prysły, jak bańki mydlane. Nerwy sprężyły się, dłoń silniej ujęła sterowy drążek, a palce machinalnie poszukały spustu maszynowego karabinu. Konarski sięgnął przed siebie, ujął zamek *hotchkissa* i zarepetował.

— Unikać walki — przemknęło mu jeszcze przez głowę. — Dolecieć!

Ale walka była nieunikniona. Eskadra chińska rozwinęła się przed nim w półkole i szła teraz wprost na jego kursie, rosnąc w oczach z niesłychaną szybkością. Widział już dokładnie maski silników najbliższych trzech Awji.

— Graty — pomyślał o płatowcach. — Dostarczone, oczywiście, przez Sowiety.

Przestrzeń przed nim zarysowały blade, ledwie widoczne ślady trzech snopów dymnych pocisków. Wszystkie trzy szły poniżej, chybiając z takiej odległości. Czwarta maszyna z prawej strony zaczepiła na moment kulami o kadłub Bristola, zgubiła go i prała w górę, nad stery, nie wyrządzając mu szkody. Piąta minęła Konarskiego z lewej i kładła się w *renversement*, aby zaatakować od tyłu. *Ta była niebezpieczna.*

Rzucił się ku niej. Nie tracił czasu: już w połowie przewrotu przez skrzydło przyczepił się do celu wiązką swoich pocisków. Bił w sam środek gondoli i widział, jak przez dwie sekundy lecą stamtąd drzazgi. Potem Awja runęła w dół, a on, wymknąwszy się gładko z wirażu, przeszedł nad nią i pełnym gazem rwał naprzód.

Pozostałych przeciwników miał za sobą i nieco wyżej. Słyszał ich karabiny, a czasem widział ślady strzałów w powietrzu obok skrzydeł. Zmniejszył teraz obroty silnika, aby ich dopuścić całkiem blisko. Parli z góry co sił.

Wtem Bristol przerzucił się ciasnym łukiem na plecy. Zaterkotały hotchkissy. Awje skoczyły w górę i rozprysły się na wszystkie strony. Po chwili jedna z nich zawróciła w kierunku lotniska: atak angielskiej maszyny nie chybił.

Jednak triumf Bristola był tylko chwilowy. Zwarta trójka szła teraz za nim niżej i raz po razu jakaś kula, dźwięcząc odbijała się od jego stójek, lub grzęzła w kadłubie. Nie było sposobu wymknąć się z pod tego obstrzału i zaatakować.

— Źle — mruknął Konarski. — Dostaną mnie.

Na dobitkę silnik jego zaczynał przerywać. Ciśnienie oliwy spadło jeszcze o pół kilograma.

Rozejrzał się dokoła. Na prawo, pod nisko wleczoną przez wiatr płachtą chmur, piętrzyły się zbocza, pokryte plantacjami herbaty i tytoniu. O jakieś dwa kilometry dalej, w łańcuchu górskim czerniała głęboka szrama wąwozu, wypełnionego kłębami ciężkiej mgły. Kotłowało się tam jak w garnku. Rozpętany prąd mussonu walił całe tabuny chmur pomiędzy rozdarte skały, tłamsił je w opętańczej furji, drąc na strzępy o ostre granie i szkarpy, wył i miotał się jak dziki zwierz w pułapce, szalał!

W tem kłębowisku zamierzał Konarski zginąć lub znaleźć ratunek.

Awje siedziały mu pod statecznikami ogona i po obu stronach kadłuba i tylko słabej celności ich strzałów zawdzięczał jeszcze życie. Prędzej czy później musiało się to jednak skończyć dla niego fatalnie.

Czarna paszcza wąwozu zbliżała się. Rwał ku niej lekkim trawersem, aby mieć ją tuż, o kilkanaście metrów od skrzydła, kiedy nadejdzie moment skrętu.

Wychynęła na mgnienie oka tylko. Położył jednym ruchem dłoni ster na burtę i szarpnął na siebie. Bristol śmignął w bok. W tej samej chwili Konarski stracił z oczu ziemię w otaczającej go mlecznej parze. Instynktownie wyrównał i czekał. Wtem usłyszał za sobą trzask i głuchy łoskot. To jedna z Awji gruchnęła o skałę, skręciwszy za uciekającym.

— Zaraz to samo będzie ze mną — pomyślał.

Zawoje pary gnały obok niego. Rzuciło maszyną wdół i wgórę, załomotało na boki, zawirowało dokoła sterami. Nie puszczał. W nieznośnem, rozsadzającem pierś naprężeniu oczekiwał zderzenia z ziemią. Wszystkiemi nerwami wczuwał się w śmiertelny łoskot płatowca, który oto lada moment wpadnie na skały, zagrzebie się w ziemię, przygniecie go swemi szczątkami, zetrze na krwawą miazgę.

Katastrofa nie przychodziła jednak. Wąwóz widocznie był szerszy, niżby się zdawać mogło. Po upływie kilku minut, w czasie których serce pilota ściskała niemożliwa do opanowania bolesna trwoga o życie, charakter rzutów maszyny zmienił się. Konarski poczuł mocny prąd równego wiatru i charakterystyczne dla otwartej przestrzeni podrywy w dół i w górę.

— Czyżby skończyły się góry? — pomyślał.

Nagle zobaczył, jak kłęby pary, pędzone po obu stronach płatowca, rwą się na wielkie płaty, uciekają i giną za nim, rozwiewają się, nikną. Gdzieś w dole przemknął strzęp ziemi, potem rozwinął się na lewo skrawek ryżowego pola, połknięty zaraz przez zwiewny obłok, wreszcie zasłona mgły ustąpiła ku górze, wypełzła, zbladła, i pod skrzydła samolotu wbiegła falista, pocięta w szachownicę ziemia, połyskująca kałużami wody.

Na twarz Konarskiego wrócił uśmiech. Rozluźniły się nerwy, zelżały mięśnie, tętna w skroniach zaczęły bić równiej.

Obejrzał się. Nikt go nie ścigał.

— Ja myślę! — powiedział i z przyjemnością usłyszał swój głos, stłumiony warczeniem śmigła.

(Dokończenie nastąpi)



KARNAWAŁ!!

Bale, dancingi, five'y, tysiąc okazji wesołej zabawy przy muzyce całej Europy, najlepszych zespołów jazzu Londynu, Berlina, Wiednia i Rzymu tylko przez radjoinstalację

Marconi'ego

Zarząd i fabryka: WARSZAWA, NARBUTTA 29

Oddziały: Warszawa, Marszałkowska 142
Łódź, Piotrkowska 48
Katowice, Dworcowa 16
Lwów, Akademicka 14

DWA KROKI OD RAJU

„Zapytujecie o wrażenia moje z New-Yorku — pisał w drugiej połowie ubiegłego stulecia Stevenson — nic jednak o tem mieście nie mogę powiedzieć nadzwyczajnego. Miasto, jak wiele innych, wielkie, zapewne, lecz strasznie monotonne, a płaskie, jak Liverpool".

Podobnego zdania był słynny poeta, a dzisiejszy ambasador francuski Claudel, który w New-Yorku rozpoczynał przed 30-tu laty swą karjerę dyplomatyczną.

Boć istotnie, drapacze chmur, stanowiące w dzisiejszej dobie jedną z cech charakterystycznych New-Yorku i półwyspu Manhattan, kupionego przed stu laty od plemienia Indjan za cenę 24 dolarów i 3 baryłek okowity — zaczęły być wznoszone w końcu ubiegłego stulecia, a pierwsze z nich, jak zbudowany tytułem próby w r. 1881 w Chicago gmach Home Insurance Building, miały zaledwie kilka pięter, ustawianych w formie ciężkiej bryły, sprawiającej przykre wprost wrażenie dla oka.

Przypomnieć się godzi, jako curiosum, iż postęp ten w budownictwie — graniczący niemal z cudem, zawdzięczyć należy zdobyczom nauki europejskiej. W pierwszym rzędzie nastąpiło to za sprawą zastosowania do budownictwa cementu (wynalazek Anglika — Portlanda); równolegle niemal powstała możliwość budowania szkieletów metalowych (stal Bessemera — Niemca), a wreszcie śmiałe koncepcje architektonicz-



Widok z lotu ptaka na miasto Atlanta w/ie Georgia, liczące 250 000 mieszkańców.

ne Francuza, Le Duc'a, który wychował szereg wy bitnych budowniczych amerykańskich, jak W. L. Jenney, W. C. Starrett i wielu innych, dały ostatecz ny impuls do wznoszenia drapaczów chmur.

W słusznem więc rozumieniu, iż o ile współczes na technika na to pozwala, należy wykorzystać każd piędź coraz ciaśniejszego, wobec rozrostu miasta, pó wyspu, poczęto budować coraz wyższe gmachy, ja Bankers Trust, Equitable, American Telegraph an Telephone Co, Woolworth Building i wiele innycl Szeroka w samej rzeczy ulica Broadway (po holen dersku Breetweg) stała się podobną do ciasnego prz smyku górskiego, wgłąb którego zrzadka docieraj promienie słońca. Nic też dziwnego, że władze mie skie musiały z czasem pomyśleć o konieczności za chowania estetycznego wyglądu metropolji, wob czego nakazały w r. 1916 („zoning law") stosować an fiteatralny system wznoszenia pięter.

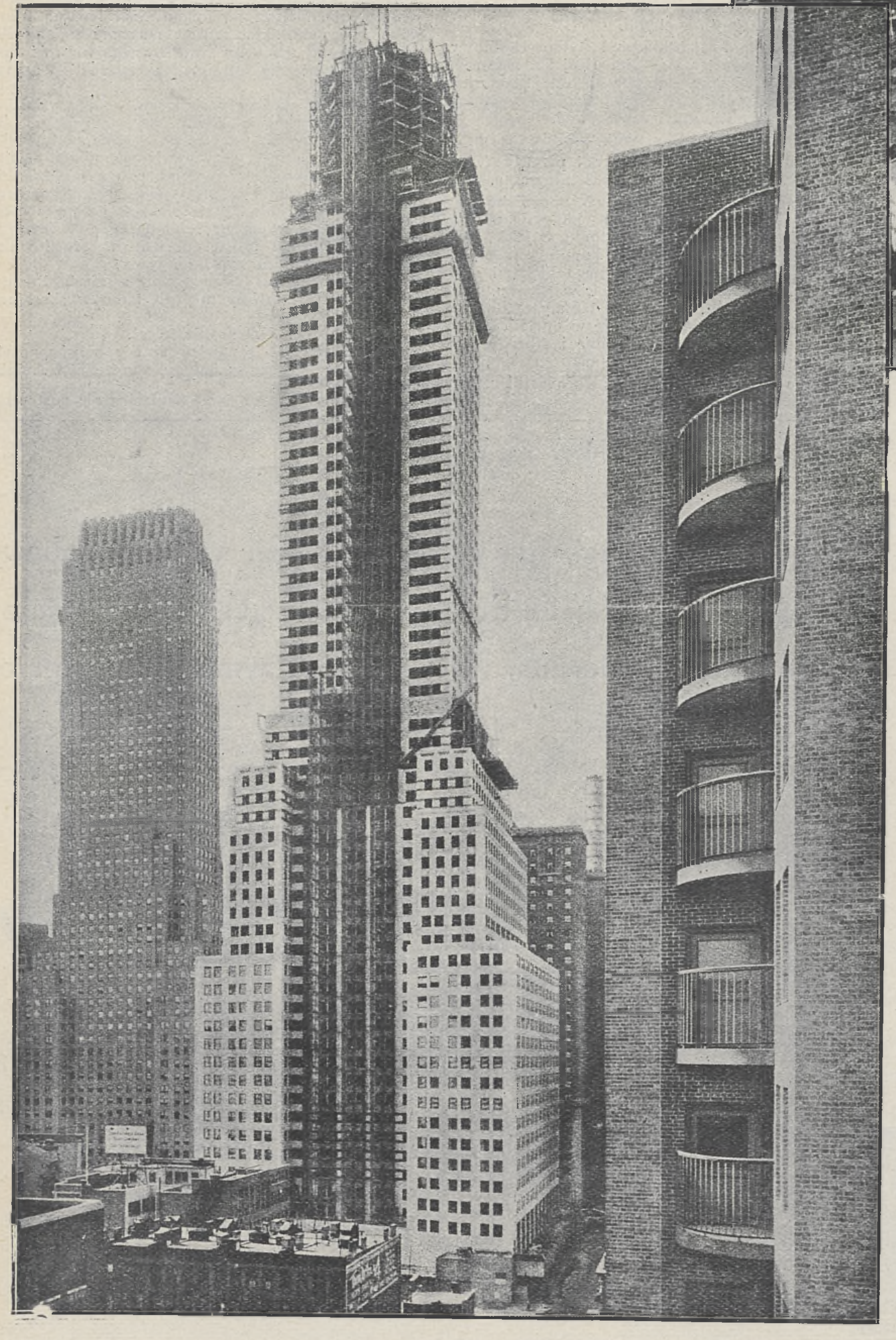
Klasycznym drapaczem chmur, który co rok zwiedzają setki tysięcy ludzi, jest Woolworth Building. Wzniesiony przez króla bazarów, Franka Woolwortha, posiada 57 pięter i kosztował zgórą 300 miljonów dolarów. Własna elektrownia, któraby mogła obsłużyć miasto liczące 60.000 mieszkańców, dostarcza światła oraz zasila prądem 27 wind, bezustannie przewożących dziesiątki tysięcy mieszkańców domu i interesantów, odwiedzających setki biur, znajdujących pomieszczenie w buildingu (przeciętna liczba osób przewożonych dziennie wynosi 11.000). 150.000 listów dziennie dostarcza tu armja listonoszów. 3.800 telefonów brzęczy od rana do wieczora, a liczniki wykazują 40.000 rozmów w ciągu dnia. 6.500 okien, 4.000 ubikacyj, 13.000 mieszkańców, 25 miljonów rocznego dochodu — oto zawrotny korowód cyfr, którym zamkniemy opis kolosalnego buildingu.

Dorzućmy na zakończenie, iż teleskop, umieszczony na dachu Woolworth Building wraz z barem (mimo prohibicji) przynoszą 2 milj. dolarów rocznie.

Niewątpliwie fascynujące wrażenie sprawiają te olbrzymy, wzniesione na kolosalnem mrowisku ludzkiem, jakiem jest New-York, w którym po 47 mostach snuje się 110 milj. pojazdów i 700 milj. pieszych rocznie, tramwaje i koleje podziemne przewożą 2 i pół miljarda pasażerów, 500.000 osób dziennie uczęszcza do 1000 teatrów i kin itd. itd.

To też niezmiernie trafnym może się nam wydać szereg wrażeń, jakie wygłosił słynny pisarz francuski Paul Morand, mówiąc, iż w tem jedynem mieście na świecie, mieście największych potęg finansowych, drapacze chmur wyglądają, jak stosy sztonów na stole gry przed wybrańcami losu". „Patrząc na te olbrzymie masy — mówi w innem miejscu Morand — odnosi się wrażenie, iż są to strzeliste katedry, wzniesione ku czci powodzenia, jak modlitwa, przyjemna bogom purytanów... Lecz człowiek współczesny, który mimowoli szuka na szczytach tych gmachów olbrzymów sterowców, mogących go unieść w bezmiar dalekich horyzontów, człowiek, co lada dzień może się spodziewać, iż przypnie sobie skrzydła i wzbije się pod same stropy niebios — człowiek ten spoglądać musi na drapacze chmur z takim samym zachwytem, jak ongi, antyczny Grek podziwiał Partenon".

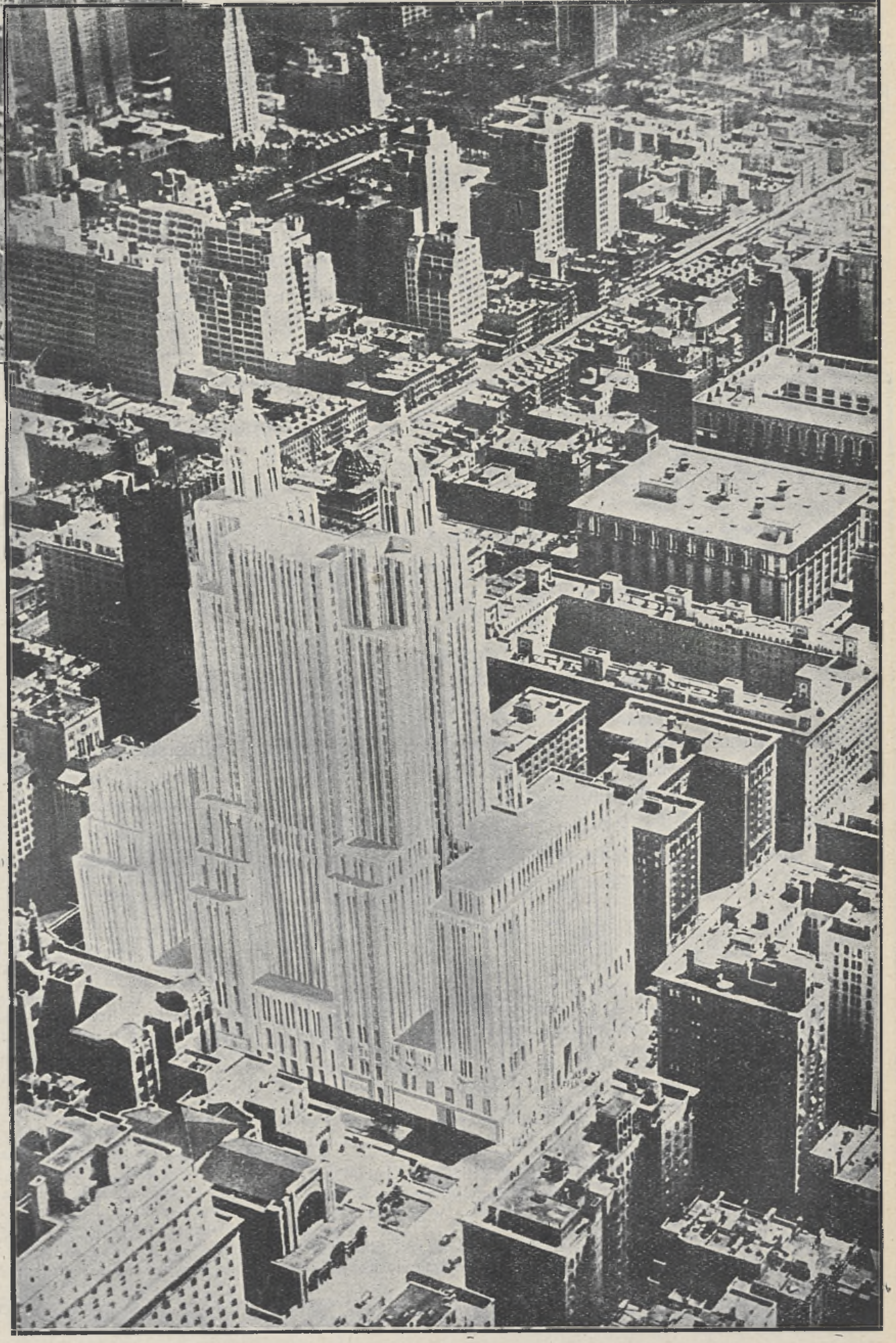
Drapacze chmur pną się ku niebiosom. Dwa kroki, rzekłbyś, jeszcze od raju. A że Stany Zjednoczone, kraj, w którym wspaniała organizacja produkcji i zbytu stawiana jest powszechnie za niedościgniony wzór i jak nigdzie indziej hojna ręka potentatów usiłuje podźwignąć nędzę ludzką — bynajmniej nie są wyśnionym Edenem, więc wznośmy się coraz wyżej, coraz dalej od padołu ziemskiego...



Drapaczem chmur jest również dom T-wa Chryslera w New Yorku.



Olbrzymi budynek szpitalny w New Yorku.



Hotel Waldorf Astoria w New-Yorku (wysokość 46 pięter, koszt 40 milj. dolarów).

BRUNO WINAWER

CO BĘDZIEMY ROBILI W ROKU 1930?

W roku 1930-ym będziemy mieli strasznie dużo roboty.

To nic, że radjo trzeba ulepszyć, film dźwiękowy pchnąć na nowe tory, aparat telewizyjny udoskonalić i samolot rakietowy rzucić nad obłoki.

Z artykułów noworocznych w najpoważniejszych pismach technicznych wynika, że nawet wytworny samochód Packarda daleki jest jeszcze od doskonałości, że najświetniejsze aeroplany dzisiejsze mają poważne braki, że lokomotywa parowa — po stu latach — zapada na pewne choroby wieku dziecięcego, że motor spalinowy jest w powijakach, budownictwo żel-betonowe ząbkuje, konie parowe kuleją i chorują na płuca.

„Zrobimy to — mówi król samochodowy, W. P. Chrysler, — poprawimy *owo* — twierdzi wynalazca Goddard, — zajmiemy się *tamtem* — przepowiada wielki znawca spraw lotniczych, Augustus Post.

Nikt z wynalazców, techników, inżynierów nie myśli o założeniu rąk po Napoleońsku, ani o tak zwanem „spoczęciu na laurach". W całej dziedzinie wre praca i ludzie, porwani jej rytmem, nie mają poprostu czasu na sceptycyzm i na psioczenie.

Nasze fabryki chemiczne dymią, kopcą i zatruwają wyziewami powietrze? — wiemy o tem. Ale cała chemja syntetyczna istnieje dopiero od lat pięćdziesięciu — od czasów Berthelota... Czy można tak odrazu trafić na właściwe formy produkcji?

Lokomotywa parowa parska sadzą, pokrywa brzydkim czarnym nalotem dworce kolejowe, domy, drzewa — prawda! wielka prawda!

Ale te jej wady i cechy przykre są też *wadami technicznemi*, tysiące inżynierów myśli dniem i nocą nad tem, jak udoskonalić spalanie, jak kopeć i sadzę — czyli nieuniknione, widoczne straty w paliwie — doprowadzić do minimum.

Motory samochodowe dudnią i huczą nieprzyjemnie — i to racja. W większych fabrykach automobilowych są laboratorja naukowe, w których młodzi konstruktorzy specjalnemi przyrządami radjowemi badają hałas, wytwarzany przez motory, studjują uważnie wpływ różnych gatunków gazoliny na „dudnienie" i stukanie, wsłuchują się w silnik, jak lekarz w bicie serca ludzkiego i próbują usunąć wszystkie niedozwolone szmery i pomruki, krótko mówiąc — nikt nie twierdzi, panowie, żeśmy już dzisiaj — w tej chwili — wszystkie rozumy zjedli, że nasze maszyny obecne i narzędzia pracy są szczytem doskonałości i ideałem wiekopomnym.

Przeciwnie! Pamiętacie pewien film komiczny Buster Keatona? Młodzieniec w zabawnym kostjumie, z epoki dawno minionej, wybiera się w podróż koleją ówczesną. Po drodze trzeba szyny przekładać, bo pewien uparty osioł ani rusz nie chce zejść z plantu...

Owa kolej żelazna wywoływała salwy śmiechu na sali...

Kto wie, czy dla naszych wnuków dzisiejszy samochód, aeroplan, aparat radjowy, generator, pług parowy, sterowiec „R 101" i nieprawdopodobnie szybki statek „Brema" nie będzie równie śmieszny, jak ów archaiczny parowóz z filmu groteskowego...

Cały szereg zawodowych śledzienników i malkontentów nie może pogodzić się z tym prostym faktem, że w technice istnieje postęp, że inżynier tworzy inaczej, niż poeta albo malarz, którego dzieło trwa przez kilka lat albo kilka wieków w formie niezmiennej, ostatecznej.

Wszystko, co widzimy dzisiaj — od lakierowanej lśniącej limuzyny Rolls-Royce'a do cementowego drapacza chmur w Nowym Jorku — jest pierwszym szkicem, pobieżną notatką, naiwnem szczebiotaniem dziecka.

Olbrzymie zeppeliny, potworne lewjatany powietrzne i wodne, hydroplan Do X i aeroplan G 38 będą dla naszych prawnuków tem, czem dla nas jest bułany wypchany konik na biegunach.

Radjo skrzeczy? — powiadacie. Owszem, macie słuszność. Musi skrzeczeć, bo twórca technicznego telegrafu elektromagnetycznego, inżynier Marconi, nie ma dziś jeszcze sześćdziesiątki (urodził się w roku 1874).

W filmie dźwiękowym głosy kobiece brzmią tubalnie? Prawda. Będą brzmiały tubalnie jeszcze przez dwa albo trzy lata. Ale już dziś w przeglądzie noworocznym poważnego czasopisma angielskiego „Observer" znajdujemy krótkie i mocne słowa: film niemy umarł. W samym Londynie powstało sto teatrów kinowych, przystosowanych do reprodukcji akustycznej. Uszy nasze przywykły do owych „talkies", podtytuły drukowane nas drażnią, kto chce obejrzeć dramat niemy dawniejszego typu, musi go szukać na przedmieściach, w lokalach podrzędnych.

Bo jedno zanotować sobie trzeba: wszystkie dąsy i szemrania estetów, wszystkie bajdy, przytyki a pogwarki śledzienników i tetryków przemijają, przechodzą, jak ów wiatr, co po stepie hula, a dobra idea techniczna trwa i rośnie, rozwija się.

Ciągle rzucamy kije pod koła postępu — a jednak... Ani jeden pomysł techniczny nie poszedł na marne.

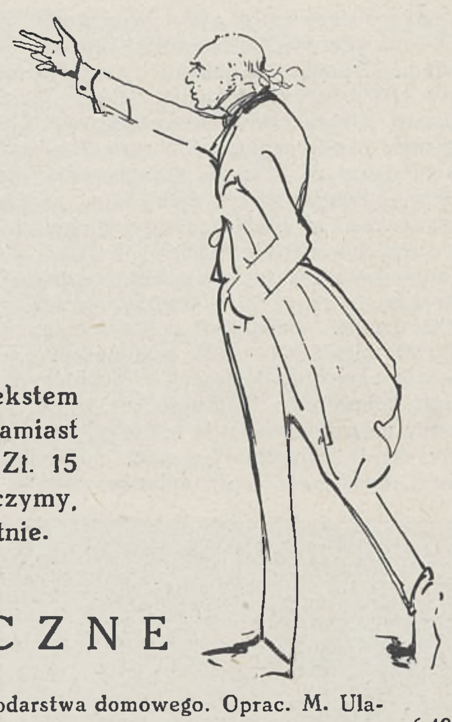
Tyleśmy się napsioczyli na gramofon, na muzykę „parową", na automaty muzyczne... Widzieliśmy w nich barbarzyństwo, upadek kultury, zmierzch sztuki i jak tam jeszcze owe wyświechtane frazesy brzmią zazwyczaj...

Nic z tego, panowie. Gramofon zdobył świat, zdobył sympatję najbardziej nowoczesnych muzyków i wirtuozów, kilku kompozytorów tworzy specjalne dzieła „na sześć pianoli"...

Nie zabijecie tych rzeczy ględzeniem po kawiarniach, nie cofniecie rydwanów historji...

„Nie da rady" — jak mówią w Warszawie.

ARCYDZIEŁA MALARSTWA



ZNIŻONE CENY I NA RATY

LUXEMBURG
LUWR I — LUWR II
KOBIETA W SZTUCE
ALBUM MALARSTWA POLSKIEGO

Każdy Album zawiera 50 doskonałych reprodukcyj kolorowych sławnych mistrzów z tekstem w języku polskim i francuskim. Do 1 marca każdy Album tylko Zł. 55.— zamiast Zł. 70.—. Przy dostatecznem zapewnieniu na trzy raty miesięczne po Zł. 25, Zł. 15 i Zł. 15. Przesyłka Zł. 3.— przy pierwszej racie, opakowania i zaliczenia nie liczymy. Piękna broszurka z opisem Albumów, ich treścią i licznemi reprodukcjami bezpłatnie.

INNE KSIĄŻKI POŻYTECZNE

CZŁOWIEK SILNEJ WOLI. Wskazówki i ćwiczenia prowadzące do wzmocnienia woli i spotęgowania energji, przez znanego hypnotyzera i uczonego Dra Kazimierza Radwan-Prągłowskiego 2.40

JAK ZOSTAĆ MISTRZEM ŻYCIA? Praktyczne i wykonalne rady do opanowania życia i zyskania powodzenia. Oprac. Dr. K. Radwan-Prągłowski 2.40

SUGESTJA W MIŁOŚCI Jak należy postępować, myśleć i czuć, aby miłość stała się w naszem życiu siłą potężną i twórczą. Nap Dr Radwan-Prągłowski 2.40

ZASADY I NAKAZY DOBREGO WYCHOWANIA. Opracowali Vauban i Kurcewicz Przepisy zachowania się w towarzystwie, zwyczaje dyplomatyczne: ubranie, wizyty, przyjmowanie gości 3.20

ZASADY PROWADZENIA DOMA. Wskazówki dla gospodyń, doskonały podręcznik dla pań i panien. Omawia wszystkie dziedziny oszczędnego gospodarstwa domowego. Oprac. M. Ulanicka z licznemi rycinami 6.40

KOSSOWSKA KUCHNIA JARSKA Podręcznik higienicznego życia i racjonalnego odżywiania Oprac R. Tarnawska i dr Apolinary Tarnawski ze słynnego zakładu leczniczego w Kossowie 12 —

KULTURA CIAŁA KOBIECEGO. 5 albumowych tablic ćwiczeń gimnastycznych dla zyskania i zachowania pięknej figury i zwinnej postawy, według słynnej Dory Menzler 5.—

KURACJA ROŚLINNA — 1050 wypróbowanych rad jak leczyć w 150 chorobach ziołami i środkami domowemi. Nap. Verdmon Jacques 4.50

PODRĘCZNIK FOTOGRAFJI oprac. Barzykowski i Jaroszyński pod redakcją Tow Miłośników Fotografji. Z licznemi rycinami, fotografjami i tablicami 8 —

M. ARCT, WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 35

OBRAZKI SĄDOWE

LISTY

Kobieta i mężczyzna. Wrogowie. Przed stołem sędziowskim spotkali się.

Po miesiącach rozstania, unikania się wzajemnego, nienawiści.

Po miesiącach nienawiści, poprzedzonych przez tygodnie obojętności, przez rok, czy dwa miłości.

Spotkali się:

Ona — najdroższa, najukochańsza Anna, Aneńka, Aniusia — w roli *powódki;* on, Stach, sen — chłopak jedyny — w roli *pozwanego.*

Najzwyklejsza sprawa.

Sprawa o alimenty.

*

Spotkali się.

I niewiele mieli sobie do powiedzenia.

W protokule zapisane typowe proceduralne słowa:

— „Powódka popiera powództwo".

— „Pozwany powództwa nie przyznaje".

*

Sucho i monotonnie brzmi referat sędziego.

A było tak:

Poznali się przed dwoma laty. Gdzieś na prowincji kiedy odbywał służbę wojskową.

Był miły. Kochał. Potem nazywał żoneczką. Mówił, że się ożeni. Jak tylko skończy służbę. Za kilka miesięcy. Za rok najpóźniej. Cóż? — Wierzyła. Bo i jak nie wierzyć, kiedy się kocha.

Potem wyjechał. Do Warszawy. Że to ma posadę otrzymać. Potem... przyszło na świat dziecko. Córeczka.

Pisywał. Ciągle nazywał żoneczką. Ciągle pytał, pełen czułości i troski o małą córeczkę.

Dużo dobrych i miłych rzeczy pisał, choć językiem niezdarnym, choć niegramatycznie.

Potem listy przychodziły rzadziej.

Potem przestał pisać.

Nastały ciężkie dni. Kobieta musi zarabiać. Zarabiać na dwoje.

Na siebie i dziecko.

Próby porozumienia, spotkania, nawiązania starganych nici. Napróżno.

I kiedy nic już nie zostało, gdy tylko głucha zapamiętała zawziętość broni przed ostateczną rozpaczą—wtedy ostatnim ratunkiem—Sąd.

Już może nawet nie miłość dla dziecka, nie chęć ulżenia swej nędzy — ale owa zapamiętałość: — niech on wie! Niech on płaci!

*

Przepis prawa: „powód musi powództwo swoje udowodnić, pozwany, nie przyznaje powództwa, musi uzasadnić swoje zarzuty".

*

— Nie znam tej kobiety... Widziałem ją ze dwa razy... może trzy...

Dziecko?... Nie moje dziecko. Taka kobieta, jak ona — niejednego miała — skąd mogę wiedzieć, że moje?

Potem jeszcze cięższe zarzuty, obelgi, oszczerstwa... zaraziła mnie... trzy miesiące leżałem w szpitalu... Bestja ludzka wyłazi z gładkiego, eleganckiego człowieka w całej swej ohydzie.

Broni się ów gładki, elegancki człowieczek zębami i pazurami.

Za wszelką cenę obronić się przed tym ciężarem, przed wydatkiem 50 złotych miesięcznie, przed odstąpieniem szóstej części swej pensji na rzecz własnego dziecka...

*

Trudno w takich wypadkach udowodnić kobiecie słuszność swych żądań.

Najważniejsze — to fakt *uznania* dziecka przez ojca.

— Czy więc uznał dziecko za swoje? Jeżeli nie — to próżne zachody. Kodeks cywilny poza jedynym, wyjątkowym wypadkiem (porwanie kobiety i to nie każde) zabrania poszukiwania ojcostwa. Czy w tym wypadku było uznanie?

— Było. Są listy mężczyzny. Listy, pisane do niej, do kobiety, jako do matki jego dziecka. Listy, pisane do proboszcza o zapisanie dziecka do Ksiąg stanu cywilnego, jako jego — pozwanego córki.

Te listy, te niezdarnem pismem zapisane, pożółkłe, poplamione łzami kartki ukazały w prawdziwem świetle owego gładkiego, eleganckiego człowieczka na sali sądowej, ukazały raz jeszcze lotność i nietrwałość uczucia, co jak burza letnia nadchodzi i jak ona ginie; zapewniły wreszcie minimum egzystencji biednemu nieślubnemu dziecku...

*

Smutny napisałem dziś feljeton, ale bo przecież jest jakiś pierwiastek tragiczny w trwałości martwych przedmiotów. W trwałości pamiątek. Umarł człowiek — pozostało palto, które nosił jeszcze wczoraj; zmarł Caruso — głos jego w płycie gramofonowej zaklęty rozbrzmiewa ciągle i ciągle; umrze wielki Ford, a miljony małych fordów dalej będą jeździły po ziemi.

Słowa, uczucia, nastroje giną bez śladu, jak motyle barwne, zabłąkane w mieście — jeśli nie będą w jakiś martwy sposób utrwalone.

(Cóżby zostało z Sokratesa, gdyby nie Platon?).

Artysta — z racji zawodu swego — pozostawia na każdym kroku dowody rzeczowe, zwykły śmiertelnik tylko w chwilach słabości. Otchoćby pisze listy, które później świadczyć będą przeciw niemu...

Ale najgorszy chyba jest los dziennikarza. Bo gdy na Sądzie Ostatecznym zaprze się i oświadczy, że jest niewinny, że nie przyznaje się do żadnego z inkryminowanych mu przestępstw, — woźny anielski przyniesie z Niebieskiego Biura Dowodów Rzeczowych wszystkie bzdury, które gdziekolwiek w trakcie swego grzesznego żywota wydrukował.

Nie pomogą wówczas żadne wykręty, ani pseudonimy, uchyli kornie głowy, uderzy się w piersi i powie skruszony:

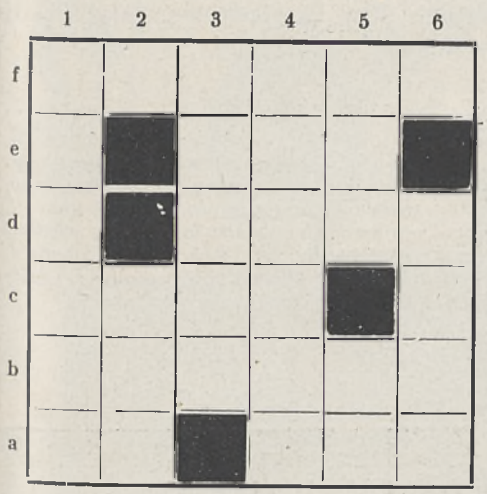
— Mea culpa... Panie.

I dlatego tak mi teraz smutno.

I. E.

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA.



Znaczenie wyrazów.

Pionowe

f1 Mieszkanie zwierząt (w niewoli)
c3 Okres
f3 Wiatr
f4 Przyrząd gimnastyczny
f5 Wschód w języku obcym
b5 Zaimek wskazujący
d6 Inaczej pani (wspak)

Poziome

f1 Jeden z mitycznej pary przyjaciół
e3 Sztuka (łac)
d3 Rodzaj dywanu
c1 Nieżywy organizm
b1 Ciało niebieskie
a1 Wspak nazwa litery
a4 Część ciała zwierzęcia.

ZADANIE KONIKOWE

Ułożył Władysław Wicherek z Bielska Śląskiego

aż	wie	Ski	jak	że
Now	wie	się	nikt	Szla
zdro	jest	Jan	psu	ty
do	Cha	sma	chet	się
ku	ne	nie	Ko	jesz

Ruchem konika szachowego odczytać imię i nazwisko poety polskiego, oraz jego czterowiersz.

Przypominamy, że termin głosowania na „Najpiękniejsze Dziecko Polskie" minął z dniem 15 stycznia b. r.

NAGRODY.

Za rozwiązanie każdego z zadań (krzyżówki lub zadania konikowego), zamieszczonych w niniejszym Nrze przeznaczamy do rozlosowania po 3 nagrody w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 29 b. m.

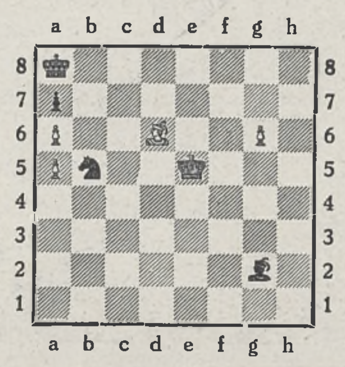
NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z Nru 48 otrzymują: (w wyniku losowania) pp. Irena Szejnówna, Kamienica-Polska, Poraj k/Częstochowy; Aniela Lisowska, Poznań, Grochowe Łąki 6; inż. Grudziński, Radom, ul. Słowackiego 9; Bolesław Mikołajczyk, Kamienica Polska, poczta Poraj k/Częstochowy; Zygfryd Setkowicz, Trzebinia-Trzebinia, Raf. Nafty; Dyonizy Kostecki z Warszawy.

SZACHY

H. Rinck

The Chess Amateur



Białe zaczynają i wygrywają.

MAURICE DEKOBRA

W krainie Maharadżów

Miłość pathańska

Pewnego razu, mój nieodłączny przyjaciel, Khagiari, z zawodu rzeźnik i były kat afgański, z plemienia Gandamak, towarzysząc mi w mych ciągłych wycieczkach po krętych zaułkach Peshawaru, zaproponował mi rzecz następującą:

— *Sahib*, jest rzeczą nieodzowną, abyś poznał koniecznie nocne piękności miasta!

Czyż naprawdę piękności? Napewno nie! Chyba pociągającym mógł być egzotyzm i niecodzienność, które je otaczają. Bo naprawdę tajemniczemi wydają się te damy Pathańskie o cerze miedzianej i o połyskujących, hebanowych włosach ze zgrabnym noskiem, przekłutym w trzech miejscach. W środkowej przegrodzie nosowej zawieszały pierścienie rzeźbione, w otwory ruchliwych chrapek coś w rodzaju gwoździków złotych, z główkami wycinanemi w delikatne desenie. Ze swemi oczami, tającemi w głębi niezbadaną tęsknotę, z policzkami lekko uróżowanemi i ustami, przypominającemi płatki kwiatu malwy, były raczej podobne do małych, malowanych bożków, a nie do kobiet z ciała i krwi nieustannie pożądanych przez męskie żądze.

* * *

Khagiari jest prawdziwą encyklopedją westalek Peshavaru. Nic więcej nie mogę wam powiedzieć, poza tem, że opowiedział mi dzieje wszystkich tutejszych mieszkanek; był przytem chwilami nieprzyzwoity i niegrzeczny, wypłaszając kilku młodych Hindusów, którzy przybyli do swych wybranek, by zaspokoić swoje tęsknoty miłosne; omal nawet nie doszło do kilku bójek. Krocząc zwolna przez wąską uliczkę wtajemniczał mnie w stan cywilny, każdej piękności.

— Oto Oil Khusma.. Jej imię brzmi: „Dobroć serca".

Przypatrzyłem się z zaciekawieniem pannie Dil Khusma, która, siedząc z podwiniętemi nogami, zdawała się zapominać o swej lekkiej profesji i zapatrzona przed siebie, powoli pykała ze swej długiej *hooka*. Pełna powagi i dumy oczekiwała tak kogoś, siedząc przy odsłoniętem oknie. Wydało mi się, że to jakaś niepocieszona Julja, marzy o swym Romeo, który może w tej chwili wzbogacał się, napadając nocą na jakąś bezbronną karawanę.

— Ta tutaj, to Nur-Jahan... Wszyscy ją znają pod nazwą: „Swiatło ziemi"

Obróciłem się szybko w tę stronę, ażeby podziwiać tę „Damę Kameljową" północno-zachodniej granicy, noszącej tak poetyczne imię i... ujrzałem starą nadętą babę, okropnie wymalowaną i obwieszoną brzęczącemi błyskotkami, które zwisały jej z nosa, uszu i szyi. To „światło ziemi" było bardzo chwiejne.

— Chce cię zaprowadzić, *Sahib,* do Sharin Jahan. Jej imię trzeba wymawiać: „Bogactwo świata". Jest bardzo piękna i cudownie tańczy.

Był już najwyższy czas, ażeby mnie Khagiari uratował od ciekawości pospólstwa, ponieważ byliśmy otoczeni przez jakąś setkę gapiów, składających się z obdartusów w wieku od pięciu do pięćdziesięciu lat. Uliczka była literalnie zapchana, a zewsząd wyglądały zaciekawione głowy.

Wstąpiliśmy na drewniane schody. Firanki, zasłaniające wejście, rozsunęły się. Wszedłem do sanktuarjum „Bogactwa świata". Jakaś Pathanka, brzuchata, pomarszczona i jaskrawo wymalowana powitała mnie bez wielkiego entuzjazmu. Czyż to miała być ta piękna „Bogactwo świata"? Ale Khagiari rozproszył natychmiast moje wątpliwości.

— To jej matka.

Pani matka znikła. Zacząłem się rozglądać po tym dziwnym domu, zbudowanym ze zrobaczywiałego drzewa i ubitej ziemi. Coś w rodzaju balkonu, przykrytego daszkiem, bez okna pozwalało obserwować całą uliczkę wzdłuż. Po chwili spostrzegłem, że nie jesteśmy sami. Był tu jakiś chłopak, trzymający w ręku bojową przepiórkę. W Peshavarze bowiem narodowym, że tak powiem, sportem są walki przepiórek, które cieszą się kolosalnem powodzeniem i służą amatorom tego widowiska do rozgrywania zakładów. Obok chłopca siedział przystojny młody człowiek, z długą czarną czupryną, na której nosił, z prawdziwą kokieterją, spiczasty turban pathański.

Khagiari objaśnił mnie, że jest on amantem „Bogactwa świata". Po chwili spostrzegłem jakiegoś poczciwca, w podeszłym wieku, który siedział zaszyty w jakimś kącie i ssał w milczeniu kawałki cukru. Był to dawny amant pani matki. Właśnie byłem zajęty rozstrzyganiem głębokiego problemu, czy chłopak, trzymający przepiórkę, nie jest przypadkiem wnukiem ssącego cukier, kiedy Khagiari przerwał moje rozmyślania:

— Oto Sharin Jahan... Ona jest piękna, *Sahib!* Niech pan patrzy...

Faktycznie! Panna „Bogactwo świata" była nadzwyczajną. Jej czarne włosy były związane i ściśnięte na czole wstążką, która, prócz tego, podtrzymywała po obu stronach głowy, na wysokości uszu, pęki ozdób z rzeźbionego złota. Na brodzie miała wytatuowane rytualne desenie. Jej mięsiste usta były mocno wyróżowane. Małe, dziewczęce piersi, mocno ściśnięte białą szatą, przyozdobiła woalem z szafranowego muślinu. Jak się dowiedziałem, urodziła się w małem miasteczku, w okolicach Peshavaru.

Rozmowa z panną „Bogactwo świata" była dosyć problematyczna, ponieważ znała tylko narzecze *pushtu*. Jej amant, wystrojony w niebieską kamizelkę i w obszerne pantalony, takie, w jakich sobie zawsze wyobrażamy odaliski, spoglądał na mnie z nieukrywaną nienawiścią. Obawiał się może, że ten pies niewierny ośmieli się pisać miłosne listy do jego „Bogactwa świata", które było przeznaczone tylko dla miłości pathańskiej?

Ażeby go co do tego uspokoić poleciłem Khagiari zorganizować *nautch*, inaczej mówiąc mały balet, w którym „Bogactwo świata" mogłaby pokazać swoje bogactwa wdzięku. Propozycja moja spotkała się z ogólną aprobatą, przyczem szanowna mama przeczuwała sowity *bakchich*. Wydała zarządzenie malcowi z przepiórką, który wypadł po schodach na dół. Oczekując na orkiestrę, zauważyłem z przyjemnością, że „Bogactwo świata" miała szlachetną duszę, ponieważ:

„Najmniejszemu nawet ptaszkowi, dała się pożywić".

Istotnie, odkryłem młodą papużkę, siedzącą w okrągłej klatce na stole; pod daszkiem balkonu dziobał jedzenie złocisty bażant, umieszczony w klatce kształtu melona, oraz mała turkawka zajęta wygładzaniem swych piórek. W tej chwili wbiegł zadyszany malec oznajmiając przybycie orkiestry. Weszło trzech muzykantów w długich koszulach i czarnych kamizelkach, wyszywanych w niebieskie desenie.

„Bogactwo świata" tańczyła z mamą swoją.

Ich ciała, sztywne jak kołek skrępowane były nieomal skórzanemi pasami. Wykonywując powolne i niedbałe ewolucje taneczne uderzały gołemi, czerwonemi i brudnemi piętami w podłogę jeszcze bardziej brudną.

(D. c. na stronie 23).

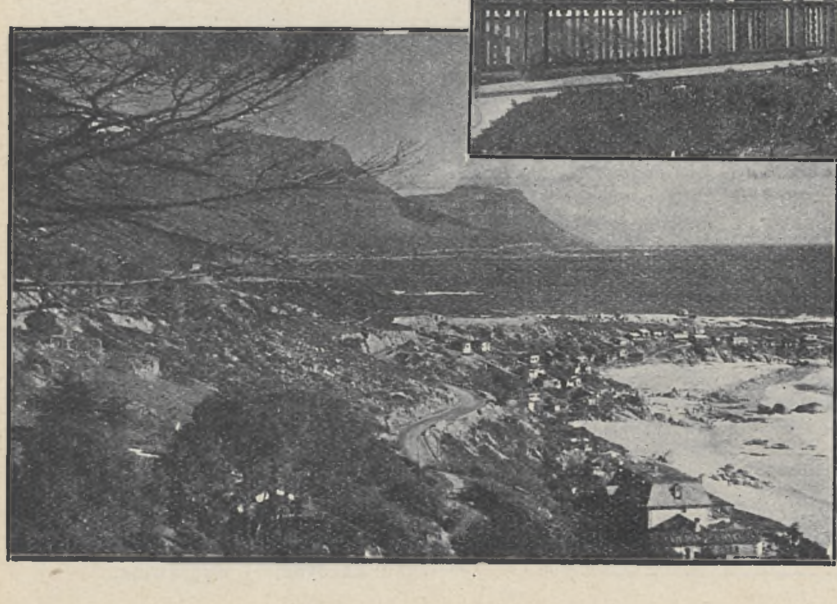
Z POLONJI W AFRYCE

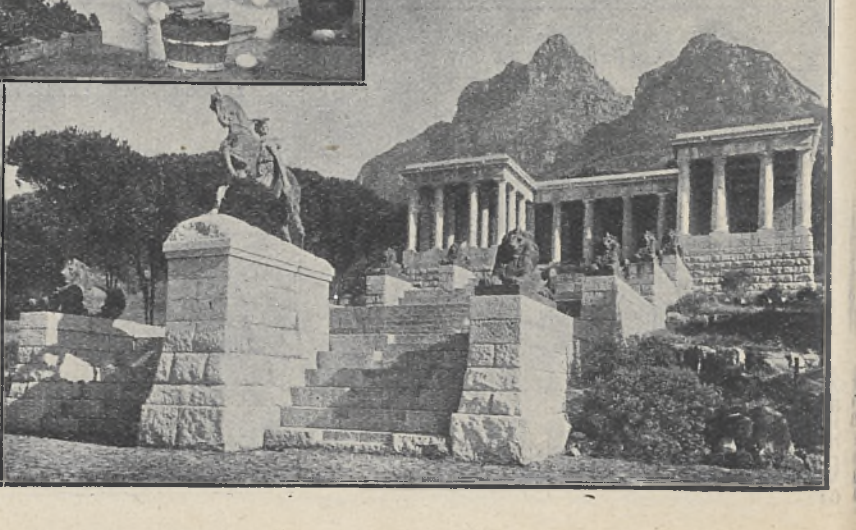
Polska placówka konsularna w Kaapsztadzie została utworzona w roku ubiegłym i jest drugą na kontynencie afrykańskim. Kompetencje konsula generalnego rozciągają się na Związek Afryki Południowej, w skład którego wchodzą: Kraj Przylądkowy, Natal, Oranje, Transwaal oraz terytorjum mandatowe Afryki Południowo-Zachodniej (dawne kolonje niemieckie).

Rozległy widok z Milnerton Beach na górę Stołową (Table Mountain) i rozpościerające się u jej podnóża miasto Kaapsztadt (Capetown), stolicę ustawodawczą Związku Afryki Południowej, w której posiadamy (patrz fotografja środkowa) placówkę konsularną. (fot. Artur Elliot oraz Wolpe i Trościaniecki).



Pomnik Cecila J. Rhodesa, brytyjskiego pioniera kolonjalnego i politycznego, twórcy i organizatora obydwu Rodezji. Pomnik zbudowano w r. 1912, według projektu Herberta Bakera i J. M. Swans'a. Figura środkowa jest reprodukcją dzieła Watts'a w Londynie.





KOLEJE W POCHODZIE CYWILIZACJI

(Dokończenie ze str. 5).

powinien i może być dopełnieniem wielkiej komunikacji kolejowej. Chodzi tylko o wyodrębnienie sfery działań. Na tem tle nastąpiło już w wielu wypadkach porozumienie, czego wybitnym przykładem jest choćby powstanie w Szwajcarji przedsiębiorstwa pół-rządowego dla mieszanych przewozów kolejowo-samochodowych „Seza“ — którego rozwój rokuje świetną przyszłość. W podobny sposób rozstrzygają pozorne trudności i amerykanie.

Powiemy więcej: niech będzie błogosławiona rola samochodu, jako konkurenta kolei, który w okresie zaledwie lat kilkunastu stał się bodźcem do tylu ulepszeń i udogodnień w kolejnictwie. Kto wie, jak wyglądałyby koleje dzisiaj bez tego miecza Damoklesa; kto wie, czy wsparte na potędze monopolu transportowego, nie skostniałyby w mamutowym bezwładzie, jak np. nasze uzdrowiska i wilegjatury, które domorośli ekonomiści chcieliby zabezpieczyć od grozy konkurencji przez sztuczne mury formalności paszportowych...

Inicjatywa kolei, nie mogąc iść bardzo po linji obniżenia taryf, poszła tedy drogą podniesienia wygody, a w końcu komfortu podróży.

W krajach zachodnio-europejskich zjawia się cały szereg pociągów luksusowych, stosunkowo nie wiele droższych od zwykłych ekspresów. W Ameryce uruchamiane są pociągi, zaopatrzone w łazienki, salony, fryzjernie i t. p. za dopłatą tylko 10% do zwykłej ceny biletów, a ostatnio między Nowym Yorkiem, a kąpieliskiem Atlantic City kursuje w sezonie t. zw. „Błękitny Pociąg“, urządzony stylowo z nie niebywałym przepychem — bez żadnej dopłaty.

W Stanach Zjednoczonych, przy normalnym stosunku zarobkowania do wydatków, jest on zatem dostępny dla wszystkich.

I to jest jeszcze wielka zasługa kolejnictwa: demokratyzacja środków lokomocji i popularyzacji podróży. Demokratyzacja w najlepszym tego słowa znaczeniu, tj. nie ta, która obywatela swego spycha do „tiepłuszki“, ale ta, która go podnosi do salonowego wagonu...

POPIERAJCIE L. O. P. P.

Z postępu techniki.

POTOP W FILMIE „ARKA NOEGO“.

Obrazy, stanowiące główny temat w wyświetlanym obecnie filmie p. t. „Arka Noego“, wymagały kosztownych i dowcipnych urządzeń ze strony techników, aby oddać np. całą grozę potopu i zniszczenia przezeń wywołanego. Na ekranie widać walące się w gruzy świątynie pogańskie i pałace, drzewa, gnące się pod naporem huraganu i tłumy ludzi, ulegających w walce z rozszalałym żywiołem.

Dla oddania tej sceny, wnętrzne świątyni zostało zbudowane na specjalnym basenie, wykonanym z betonu. Świątynia mierzyła 35 metrów długości i 20 szerokości, ogromny zaś basen miał 150 metrów długości przez 90 szerokości. Wzdłuż jego boków ustawiono kilka potężnych zbiorników z wodą. W paru zaś miejscach były umieszczone wentylatory, służące do wytwarzania za pomocą powietrza bałwanów na powierzchni wody. Wzdłuż brzegów basenu przeprowadzono rury 30-to centymetrowe, które miały w krytycznej chwili wyrzucić masy wody, oprócz tej, która zaczęła wchodzić do basenu z otwartych zbiorników.

System rur, przeprowadzonych w górze, miał sprowadzić ulewny deszcz. Szereg kamer zdejmował obrazy zniszczenia. Jedne z nich były umieszczone nieruchomo na wysokich rusztowaniach obok basenu, inne chodziły po torach, ułożonych pod krawędzią ostatniego, jeszcze inne pływały wraz z operatorami na wodach basenu.

Walące się kolumny, padały za pomocą drutów, pociąganych zdaleka.

Resztę złudzenia spotęgowały dekoracje i perspektywa. Niebo, zasnute chmurami ołowianemi, było sfotografowane z natury.

Zwierzęta, wchodzące długim szeregiem do arki, są częściowo prawdziwe, w części zaś — miniatury (na tylnych planach) sfotografowane.

Olbrzymi kamień młyński, rozpadający się na rozkaz Jehowy, został wykonany z dwóch części, które następnie były odciągnięte jedna od drugiej, za pomocą drutów. Wreszcie tłum, biegnący w popłochu, był sfotografowany oddzielnie, i nałożony na tło ginącego mostu, sfotografowanego uprzednio z minjatury.

Z. K.



OD 40 LAT WYPRÓBOWANY, NIEZAWODNIE SKUTKUJĄCY PREPARAT DIETYCZNY!

Kaisera karmelki piersiowe z 3 jodłami

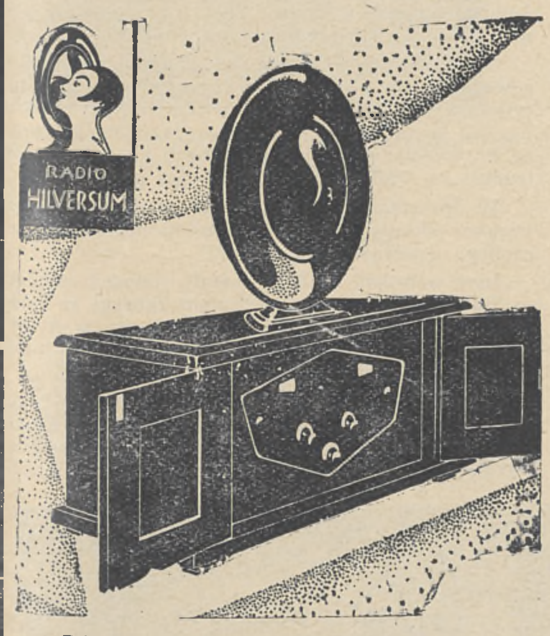
ZNAKOMITY ŚRODEK OCHRONNY ORGANÓW ODDECHOWYCH

Jest to zarazem środek, wytwarzający krew i pobudzający apetyt. — Prawdziwe tylko z marką ochronną

„3 JODŁY“

Żądać w aptekach i składach aptecznych.

Przedstawicielstwo: MIECZYSŁAW TULEJA, Warszawa, Solec 48a. Tel. 303-56.



KARNAWAŁ

Zabawy — Tańce

Dobrze się tańczy przy dobrej muzyce.

Dobrą muzykę daje

RADJO HILVERSUM

„RADJO HILVERSUM“ to aparat znany w całym świecie ze swej czystości odbioru, wielkiej selektywności, łatwości w obsłudze i estetycznego wyglądu.

DO NABYCIA W FIRMACH WARSZAWSKICH:

ZJEDNOCZONE T-WO HANDLOWE, Zielna 46

„RADIOS“, Niecała 6 — „MEGOHM“, Bracka 2

oraz na prowincji:

Kraków—Philradjo, Rynek Główny 9.
Lwów—W. Drabik, Sykstuska 17.
Katowice—Werka, Zamkowa 1.
Bielsko—Alschor i Zipser, Kolejowa 11.
Łódź—Audion, Traugutta 1.
Poznań—Radius, św. Marcin 62.
„ —M. Pachulski, Pl. Wolności 11.
Przemyśl—Unger i Rebhun, Mickiewicza 5.
Toruń—„Auto-Radjo-Skład“ Mostowa 36.

i we wszystkich większych miastach Rzeczypospolitej.







Tytoń bogactwem Turcji

Uprawa, zbiór liści i suszenie tytoniu.





Nie ulega żadnej wątpliwości, iż w dziedzinie produkcji szlachetnych gatunków tytoniu, Turcja przoduje wszystkim krajom świata. Opinja ta, ustalona od szeregu lat, nigdy nie została zachwiana, mimo nawet różne kryzysy, które przypadły w udziale Turcji, jako jednostce państwowej i narodowi.

Uprawie tytoniu, jak również wyrobowi produktów tytoniowych, w Turcji poświęca się tradycyjnie niemal oddawna wiele uwagi i wysiłków, których wyniki zresztą coraz lepiej się opłacają.

Jeśli mowa o ostatnich latach, to produkcja ta wynosiła przeciętnie do 60 milj. klg., zebranych z 653.036 ha poświęconych uprawie, a rozrzuconych wśród 44.473 wiosek i 101.026 plantatorów.

Garstka tych danych w dostateczny sposób oświetla znaczenie, które słusznie przypisuje państwo tureckie tytoniowi.

Istotnie bowiem tytoń turecki zdobył sobie zaszczytne miejsce na wszystkich rynkach świata i cała jego produkcja, poza 10 milj. klg. przeznaczonemi dla konsumpcji wewnętrznej, jest stale eksportowana zagranicę.

Stanowisko państwa tureckiego w stosunku do bogactw narodu znalazło swój wyraz w mowie, wygłoszonej przez Ismeta Paszę na Zjeździe Izb Handlowych w Smyrnie w r. 1927.

„Rad jestem stwierdzić, jak wielce naród interesuje się zagadnieniami gospodarczemi. Wobec podobnych nastrojów nie może być mowy o wywieraniu wpływu na masy drogą stwarzania zbędnego przymusu. Pragnąłbym atoli, by obywatele zechcieli zrozumieć, iż tylko drogą łączenia swoich interesów mogą dojść do celu, który jest jednym dla wszystkich, podobnie jak jeden cel przyświecał wszystkim, kiedy torowaliśmy siłą oręża i walk politycznych drogę ku wolności narodu tureckiego i potęgi Rzeczypospolitej".

Przechodząc do szczegółowej analizy produkcji tytoniu w Turcji, pozwolimy sobie rzucić okiem wstecz, powrócić do czasów istnienia t. zw. Régie Tytoniowej.

Administracja ta została stworzona w r. 1883 i w samej rzeczy przynosiła już wówczas znaczne dochody na korzyść wszakże jedynie kilku koncesjonarjuszów. Państwu samemu przypadał wówczas w udziale znikomy zysk w wysokości nie przekraczającej 5 milj. funtów tureckich.



Fabryka tytoniowa w Dżibali.

W r. 1920 nowy rząd republikański zniósł dawny ustrój Régie, zastępując go Monopolem Państwowym, będącym jednostką samodzielną i zależną, podobnie jak w innych krajach, od Ministerstwa Skarbu.

* * *

Zmiana tego systemu odbiła się nader korzystnie na dochodowości osiąganej z tytoniu. Wpływy skarbowe wkrótce dosięgły wkrótce 22 milj. funtów, a w roku bieżącym preliminowane są do 24 milj. funtów.

Znaczna ta zwyżka dochodów nie wypływa bynajmniej ze zwyżki cen, lecz przedewszystkiem z usiłowań w kierunku racjonalnej uprawy i fabrykacji, jak również w kierunku zorganizowania sieci sprzedaży i walki z przemytnictwem.

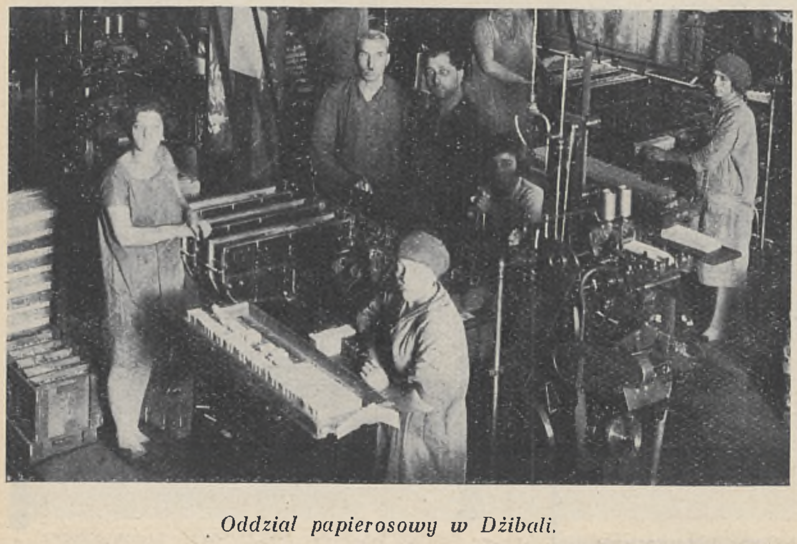
Organizacja ta jest zasługą przedewszystkiem jednego człowieka, Badżet Beja, który piastuje godność Dyrektora Naczelnego Monopolu.

Na specjalną wzmiankę zasługuje również wzorowe zorganizowanie największej fabryki wyrobów tytoniowych w Dzibali (Konstantynopol). Zakład ten jest zaopatrzony w najlepsze maszyny precyzyjne do wyrobu papierosów i innych produktów. Zatrudnia on 2500 robotników obojga płci.

W Konstantynopolu również znajdują się największe składy tytoniu nieobrobionego, przeznaczonego przeważnie na eksport.

Inne wzorowe zakłady zostały również założone w Smyrnie i w Adana. Pozatem fabryki w Dżar-Bakorze, w Urfie, w Bitlisie, w Malatya, w Artiwinie produkują wyroby przeznaczone dla konsumpcji wewnętrznej.

Monopol Państwowy Turecki posiada w różnych miastach na świecie swych przedstawicieli, którzy przyjmują coraz znaczniejsze obstalunki zarówno wyrobów gotowych, jak też tytoniu nieobrobionego.



Oddział papierosowy w Dżibali.



Składy eksportowe w Dżibali.

W „bolszewickim” raju.

Bolszewicy lubują się w krzykliwych i buńczucznych pochodach propagandowych. Oto kilka transparentów, charakteryzujących intencje ich autorów.



1) *Precz z Nepmanami, kulakami (bogatymi włościanami) i popami.*



2) *Dzięki traktorom 90⁰/₀ obszarów Rosji leży odłogiem... burżuazję wciąż gnębimy.*



3) *Chiny boją się panicznie Z. S. S. R. (?).*

Z POSTĘPU TECHNIKI

ŚWIETLNE GAZETY RUCHOME.

Jednem z ostatnich i najbardziej efektownych zastosowań reklamy świetlnej, jest szereg napisów, ułożonych z mnóstwa lampek elektrycznych, i niknących przed oczami widza. Reklama taka, umieszczona na wysokich budynkach, których kontury znikają na ciemnem tle nocy, występuje nadzwyczaj wyraźnie, i staje się dla oka nader atrakcyjną.

Następnym etapem w jej rozwoju, jest podawanie tą drogą najważniejszych wydarzeń chwili, czyli że reklama staje się ruchomą gazetą świetlną, tembardziej wywołującą zainteresowanie, że zjawia się w czasie, gdy na ulicach niema już świeżych gazet.

Podobne gazety ruchome widzi się w wielu miastach Zachodu i Ameryki. Jedną z największych zainstalowano w budynku Times'a nowojorskiego, stojącego na Times-Square, w najruchliwszym punkcie Broadway'u. Tłumy ciekawych wystają tam wieczorami, przypatrując się sunącej zwolna świetlnej wstędze, która obiega wszystkie cztery strony budynku.

Zasada działania podobnej reklamy, czy też gazety jest prosta sama w sobie. Wyobraźmy sobie obracający się bęben, na którym nasadzone są w pewnym ułożonym porządku występy, mające formę dużych guzików. Obok bębna znajduje się szereg nieruchomych kontaktów, zapalających szeregi lampek z całego ich mnóstwa, któremi usiana jest reklama od zewnątrz.

Jasną jest rzeczą, że bęben, obracając się, dotknie swymi występami odpowiednich kontaktów w odpowiednim porządku, zamknie w ten sposób prąd i zapali światło w danej grupie lampek.

Zasada ta w istocie prosta, prowadzi do konstrukcji zawiłej w wypadku, gdy chodzi o oświetlenie całych zdań, składających się z wielu liter, czyli wielu lampek.

Jakkolwiek zapalanie lampek odbywa się stopniowo, to oko jednak nie zauważa tego, a przeciwnie otrzymuje wrażenie ciągłości ruchu, co tłomaczy się właściwością naszej siatkówki, która nie może różniczkować obrazów, następujących po sobie prędzej niż 1/7 części sekundy. Na tej samej zresztą zasadzie jest oparte złudzenie w kinematografie: taśma, przedstawiająca mniej więcej około 16 oddzielnych zdjęć na sekundę, puszczona w szybkim tempie, daje wrażenie ciągłości ruchu.

GARAŻ SAMOCHODOWY Z AUTOMATYCZNĄ OBSŁUGĄ.

W N.-Yorku zbudowano garaż, znany pod nazwą „Kent Automatic Garage“. Klijent zostawia swój samochód u wejścia w budynku, ze zgaszonym motorem. W tej chwili zjawia się wózek automatyczny, który chwyta samochód i wciąga go do klatki dźwigu. Ostatni zawozi samochód na odpowiednie piętro, do przeznaczonego dlań „box'u“.

Podobna procedura powtarza się przy odbiorze maszyny: klijent przedstawia na dole swój kwit z numerem, a urzędnik dyżurny przesyła w tej chwili zapotrzebowanie na odpowiednie piętro za pomocą telefonu. Maszyna zjawia się na dole, po upływie, średnio... 50 sekund. Wózek i dźwig kierowane są za pomocą jednego mechanika. Wszystkie operacje przy przyjmowaniu i wydawaniu samochodów są tak znormalizowane i obliczone w ogromnym 25-o piętrowym budynku, że klijent nigdy nie czeka, gdyż wskazany wyżej czas — 50 sekund, akurat jest potrzebny do załatwienia przez niego formalności w kasie: zapłacenie, odebranie reszty i t. p.

Garaż posiada dwie windy i każda z nich jednocześnie może zabierać dwa samochody.

Posiada on pozatem i inne jeszcze urządzenia, które stawiają go w rzędzie najbardziej współczesnych budynkó wtego rodzaju.

W podziemiach jego np. są wszystkie przyrządy i materjały potrzebne do smarowania i mycia wozów. Wszystko, oczywiście, jak przystało na Amerykę, idzie elektrycznością. Całe pomieszczenie zalane jest obficie światłem potężnych lamp rtęciowych. Obok znajduje się poczekalnia wygadnie urządzona dla szoferów. Oddzielne salony są do dyspozycji „businessman'ów“ i „sportladies“ — właścicieli maszyn. Urządzone z przepychem, są one połączone z łazienkami, ubieralniami, fryzjernią, a wreszcie oddziałem safe'ów i przechowalnią paczek. Mądry przedsiębiorca amerykański nie żałował dolarów, aby swój przybytek zrobić niezbędnym dla klijentów, aby go przywiązać do siebie, ofiarując mu coś więcej, niż konkurent z sąsiedniej ulicy. Wydatek ten napewno opłacił mu się sowicie.

GIGANTYCZNE ROZMACHY SZTUKI INŻYNIERSKIEJ.

Dwa epokowe projekty są opracowane w celu połączenia Francji z Anglją. Pierwszy — to budowa tunelu pod cieśniną Duwru, drugi — konstrukcja mostu przez kanał angielski. Tunel projektowany miałby od 50 do 80 kilometrów długości, czyli znacznie więcej, niż tunele, budowane dotychczas.

Most, przeciwstawiany tunelowi przez niektóre sfery, jest imprezą jeszcze śmielszą, i wymaga uprzedniego zbudowania dwuch sztucznych wysepek. Pierwszy kosztorys oblicza koszt jego budowy na mniej więcej 140 miljonów dolarów.

Na miejsce dla wysepek zostałyby użyte piaszczyste ławice, leżące w odległości 16 kilometrów od Cape Gris Nez. Pierwsza z tych wysepek mierzyłaby 16 kilometrów długości, druga zaś — 9 kilometrów. Zdaje się, że głębokość kanału nie stanęłaby na przeszkodzie temu projektowi.

Inny znów jest projekt połączenia Europy z Afryką przez tunel pod cieśniną Gibraltarską. Koszt ostatniego obliczono na 60 miljonów dolarów — sumę zgoła nieznaczną, zważywszy rezultaty podobnego połączenia.

Projekt — zupełnie szczegółowo opracowany — przewiduje założenie rury o przekroju eliptycznym na głębokości 17 metrów pod wodą.

W ten sposób uniknie się wiercenia tunelu pod dnem Gibraltaru, którego głębokość pod wodą sięga w pewnych miejscach aż 1000 metrów. Tunel Gibraltarski składałby się zatem z odcinków rury stalowej, długości 230 i wysokości 20 metrów. Takich odcinków byłoby więc 75 sztuk. Każdy z nich zostałby umocowany na dnie za pomocą potrójnych, nie rdzewiejących kabli. Cały tunel, wykonany przez połączenie wszystkich odcinków, posiadałby długość 15 kilometrów. Wewnątrz niego ułożonoby dwa tory kolejowe i cztery ulice dla ruchu kołowego.

Sfery kompetentne uważają, że tunel ten może być wykończony już w 1935 roku.

Z. K.

CHOROBY WĄTROBY — KAMIENIE ŻÓŁCIOWE

CHOROBY PRZEMIANY MATERJI

LECZĄ

ZIOŁA

CHOLEKINAZA

H. NIEMOJEWSKIEGO

Do nabycia w Laboratorjum fizj.-chemicznem **„Cholekinaza”, Warszawa, ul. Nowy-Świat 5** (na prowincję wysyłka pocztą) oraz **w aptekach** i składach aptecznych.

OBJAWY KAMIENI ŻÓŁCIOWYCH:

początkowe: Ból w bokach i dołku podsercowym (gdzie schodzą się żebra). Pobolewania w wątrobie, skłonność do obstrukcji. Język obłożony. Odbijanie gazami; gorycz i niesmak w ustach. Wzdęcie i burczenie w kiszkach. Bóle i zawroty głowy.

Podczas ataków: w dołku i wątrobie silny ból, który się rozchodzi ku stronie tylnej — w pasie — krzyżu — i sięga aż do łopatki. Wzdęcie brzucha, rozsadzanie żeber, parcie na kiszkę stolcową. Niekiedy wymioty żółcią, zimne poty, żółtaczka.

Bliższe szczegóły kuracji w broszurze Dr. med. T. Niemojewskiego.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM

ROZDZIAŁ I.

Długa promenada, prowadząca z Hotelu de Paris do Międzynarodowego Klubu Sportowego w Monte Carlo, ta jedyna w swoim rodzaju jasna, żółtawo-złota ścieżka — jest punktem zbornym najsłynniejszych kurtyzan, dygnitarzy, przestępców „de luxe" i światowej arystokracji. Mimo to uważał Grant Slattery punkt ten za nieodpowiedni do wyznaczenia spotkania, którego podczas swej ostatniej, dwuletniej włóczęgi po Europie obawiał się więcej, niż czegokolwiek w świecie. Powoli powracała zupełna świadomość. Tymczasem skracała się między nimi coraz szybciej dzieląca ich przestrzeń i stanęli naprzeciw siebie. Nastąpiła chwila zupełnego milczenia.

— Gertrudo! — zawołał.

— Grant!... — wyszeptała.

Ta konwencjonalna wymiana pozdrowień dopomogła mu do opanowania pierwszej, gorzkiej i przykrej chwili. Bo, choć Grant Slattery posiadał wszelkie cechy charakteru prawdziwego mężczyzny, miał jednakże w niektórych sprawach nieomal niewieścią wrażliwość.

— Jakże to było dawno... — zauważyła.

— Czas jest pojęciem absolutnie względnym — wyrzekł sentencjonalnie.

Wydawała się troszkę bezradna. Była to istotnie przykra sytuacja dla niej, a również bolesna i dla niego — to spotkanie po fakcie, który poruszył w swoim czasie całą elitę Washingtonu kiedy, będąc z nim po słowie, uciekła z domu z jego rywalem, z posmakiem szczególnej sensacji, a nazajutrz została księżną von Diss i wyjechała do Berlina.

— A przecież musieliśmy kiedyś się spotkać. Mam nadzieję, że będzie pan dla mnie miły.

— Miałem zamiar być nawet i wdzięcznym — odrzekł z lekkim ukłonem. — Jednakże teraz, kiedyśmy się spotkali, wydaje mi się to niemożliwe.

— To ładnie z pana strony, myślę, że chyba niebardzo się zmieniłam?

— Wygląda pani piękniej, niż kiedykolwiek — zapewnił ją.

— A pan, — odparła z uśmiechem — zyskał jeszcze więcej godności. A propos, mówiono mi, że porzuciłeś służbę dyplomatyczną. Czy to prawda?

— Tak jest. Niema już co robić...

Oczy ich spotkały się na chwilę. We wzroku jej pojawił się jakiś zagadkowy błysk.

— Dokąd pan idzie? — spytała nagle.

— Byłem na śniadaniu w Klubie, a obecnie szedłem w kierunku kortów tenisowych, gdyż chciałbym zagrać kilka partyj.

— Niech pan lepiej wejdzie ze mną do Casina. Znajdziemy dwa krzesła i pogadamy chwilkę. Nie można się w ten sposób rozstać.

— Nie wie pani, czy mam ochotę spotkać jej męża.

— Niema go w Monte Carlo. A zresztą mam nadzieję, że chyba nie ma pan zamiaru, wyzwać go na pojedynek...

— Gdybym pragnął uciekać się do podobnych środków — odrzekł — uczyniłbym to wcześniej. Kobieta ma zawsze prawo zmienić swoje zdanie. Nie mam żalu do nikogo.

Udali się w kierunku baru, który o tej porze był jeszcze pusty. Usiedli przy małym stoliku i czekając na zamówione cocktaile obserwowali się dyskretnie przez chwilę. Mówił prawdę, gdy twierdził, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Była istotnie piękna ze swą nieskazitelnie czystą, martwą cerą i lekko zaróżowionemi policzkami. Oczy były tak ciemno niebieskie, że osiągały odcień, pospolicie zwany fioletem. Włosy miała koloru pierwszych promieni słonecznych. Wargi jej były może nieco za pełne w stosunku do cyzelowanych rysów, lecz zato prześlicznie wykrojone. Była jak zawsze wysmukła, pełna wdzięku. Z podziwem patrzał na jej piękne palce, które ukazały się z pod rękawiczki.

— Lubił pan zawsze moje ręce — rzekła w zamyśleniu.

Oczy jego spoczęły na pierścieniu platynowym z pięknie oprawioną perłą, niezwykłego blasku. Uśmiechnęła się.

— To brzydko z mej strony, że go zatrzymałam. Czy mam go zwrócić, Grant?

— Nie, — rzekł nieco szorstko — ale to nie znaczy...

— Co?

— ...to nie znaczy, żebym miał zamiar flirtować z panią.

Pochyliła głowę wtył i roześmiała się.

— Zgaduję, że zechcesz zmienić temat rozmowy. Naprzykład — czy lubię Berlin? Odpowiadam, że nie i dlatego tu przyjechałam. Dobrze, co? Ale też rozczarowałeś mnie, Grant!...

— A wie pani, że istotnie chciałem zapytać o Berlin. Teraz zwłaszcza, kiedy jestem zupełnie wolnym człowiekiem i stosunki dyplomatyczne nic mnie nie obchodzą, jestem pełen zainteresowań zwykłego inteligenta w stosunku do Berlina. Sądziłem, że zechce pani zaspokoić moją ciekawość.

— Był pan przecież tam dwa lata — przypomniała mu nieco sucho.

— Tak. Ale to było pięć lat temu. Kierunek, który mógłbym nazwać monarchistycznym był wtedy dopiero w stanie zaczątku. Książę Fryderyk był wówczas jeszcze w gimnazjum i prawie wcale nie występował publicznie. O ile słyszałem jest tam teraz bożyszczem.

Gertruda von Diss spojrzała w złote lusterko i dyskretnie sięgnęła po puszek.

— Nie rozmawiam nigdy o polityce, choćby przez wzgląd na to, że mąż mój jest członkiem rządu niemieckiego... Zagrałabym natomiast chętnie w baccaratą, o ile znajdzie się miejsce przy stole. Przegrałam już tak dużo w ruletę, że zarzucę tę nudną grę.

— Pójdę zobaczyć, jeżeli pani ma ochotę — rzeł uprzejmie.

— Za chwilę. Proszę mi tymczasem opowiedzieć coś o sobie, Grant. Cóż znaczy przedewszystkiem to zerwanie z karjerą dyplomatyczną?

— Nie pozostało obecnie wiele roboty dla dyplomacji Stanów Zjednoczonych. Cały świat stał się obecnie wielkiem targowiskiem dla kupców, którzy mogą kupować, sprzedawać, wymieniać. Nasze zajęcia mogą wykonywać konsulowie. A pozatem, mówiąc o mojej osobie, dostałem ostatnio tak dużo pieniędzy, że stałem się leniwy.

— Nie zgadzam się z panem — odrzekła. — Jeżeli istotnie zajęcia handlowe, stały się nicią przewodnią świata, to uważam, że nie zbrakłoby jeszcze roboty dyplomatycznej Stanom Zjednoczonym. Handel jest jedną z głównych przyczyn ruchu w dyplomacji, tak przynajmniej twierdzą moi obecni współziomkowie.

— Bardzo prawdopodobne — przyznał. — Proszę mnie jednak nie traktować zbyt serjo. Szukałem tylko przyczyny, usprawiedliwiającej moje lenistwo.

Skrzywiła się lekko.

— Jest pan zdecydowanie zamknięty w sobie — zauważyła — zaczynam sądzić, że oboje jesteśmy dosyć mądrymi ludźmi. Mimo to nie widzę nic złego w bardziej szczerej i intymnej rozmowie.

— Nie byłoby to wdzięcznem zadaniem. Mąż pani zajmuje bardzo wysokie stanowisko rządowe w Berlinie. Musi być w stałym kontakcie z ludźmi znakomicie obeznanymi z myślą polityczną różnych krajów. Ja zaś niczem nie jestem i nikogo nie znam.

Przez chwilę zaigrał uśmieszek na jej wargach.

— Rozwinął pan w sobie nową cechę, z którą zresztą panu bardzo do twarzy. Jest pan pierwszym skromnym człowiekiem, jakiego udało mi się spotkać od wielu lat.

— Zarozumiałość przestała być moją metodą od trzech lat i dwóch miesięcy — odpowiedział z lekką domieszką goryczy.

Położyła rękę na jego dłoni. Głos jej stał się nieomal pieszczotliwy.

— Jeszcze kiedyś o tem porozmawiamy a powiem wówczas coś takiego, co pomoże panu do zrozumienia mnie. Tymczasem, proszę mi wierzyć, że i ja również cierpiałam. Nie byłam tak bezwzględna, jak się zdawało.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł, siląc się na obojętność.

Tymczasem sala napełniła się dosyć dużem towarzystwem młodych ludzi. Mieli przeważnie wszyscy kostjumy tenisowe. Wracali z kortów. Młoda kobieta, o zgrabnej, wysportowanej sylwetce, będąca najwidoczniej ośrodkiem wesołego towarzystwa, uśmiechnęła się w stronę Granta. Uśmiech ten jednakże znikł z jej twarzy, gdy uważnie popatrzała na jego towarzyszkę. Kiedy młodzież zasiadła do stojącego obok Granta stolika, młoda dziewczyna odwróciła się w jego stronę i zawołała:

— Będziemy mieli dzisiaj nader urozmaicony wieczór. Obiad — u nas, spotkamy się następnie tu, aby pójść na jakiś dancing. Czy zechciałby pan nam towarzyszyć i mnie eskortować?

— Z największą przyjemnością. Ale czy nie zajdą z tego powodu jakieś komplikacje? Cóż na to powie Bobby?

Potrząsnęła głową i rzekła zniżonym głosem:

— Źle się sprawuje. Widziano go w Nizzy wczoraj popołudniu, kiedy powinien był być na korcie tenisowym. Jechał z jakąś Rosjanką, pokrytą klejnotami. Bobby nie umie unikać tych rzeczy, rozumie pan?

— Biedny chłopiec! — zauważył Grant, udając współczucie.

— Proszę nie być hipokrytą — roześmiała się dziewczyna. — Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu jeszcze na niego spojrzę, a jestem stanowcza! Nie później jak o 8.30 będzie obiad. Ojciec wspominał mi, że chciałby widzieć pana. Ale oczywiście, nie zawracajcie sobie głowy zadaniami bridge'owemi, bo musi pan pójść z nami pohulać...

— Będę punktualny — zapewnił ją życzliwie.

— Nie mogę dłużej rozmawiać — zakończyła, odwracając się. — To łakome towarzystwo zje mi wszystkie czekoladowe éclairs. Każdy zjadł więcej niż na niego wypadło...

— Któż to taki, ta dziewczyna? — spytała Gertruda. — Bez względu na to, kim jest, nie znoszę jej. Chciałam, żeby mi pan towarzyszył przy obiedzie.

— Przepraszam panią, ale nie wiem, czy mógłbym przyjąć zaproszenie. A teraz, przechodząc do moich znajomych, nie wiem co się pani nie podobało w tej przemiłej dziewczynie. Nazywa się ona Zuzanna Yeovil i jest najpopularniejszą osóbką w tym sezonie.

— Czy nie jest ona przypadkiem córką angielskiego premjera? — zapytała Gertruda skwapliwie.

Grant skinął głową.

— Lord Yeovil bawi tu obecnie w związku z Międzynarodowym Kongresem — dodał. — Mają willę na Cap Martin.

— Pocóż on chciał się widzieć z panem?

— Myślałem, że pani to odgadnie ze słów lady Zuzanny. Rozwiązujemy razem zadania bridge'owe. Niektóre z nich są bardzo zajmujące.

— Jest pan poprostu szkaradny — oświadczyła. Był to stary zwrot, który tak dobrze pamiętał. Opanowało go chwilowe wzruszenie. Lecz natychmiast opanował się.

— Cóż pani robi sama w Monte-Carlo, Gertrudo? — zapytał.

Wyjęła z małego notesu skrawek gazety, zawierający listę gości, bawiących na Rivierze. Przyjrzał się mu bliżej i zauważył własne nazwisko, podkreślone czerwonym ołówkiem.

— Oto dlaczego przybyłam — wyznała. — Jest to może również niedorzeczny impuls, jak ten z przed trzech lat, a który wówczas uczynił ze mnie potworną kobietę. Lecz ten impuls nadszedł i dałam mu się porwać. A teraz będę musiała spędzić pierwszy mój wieczór w Monte-Carlo bez pana. Przyjął pan niestety zaproszenie lady Zuzanny, przypuszczam więc...

Uśmiechał się. Przypływ wzruszenia już minął. Wiedział już poco przyjechała i ta świadomość dawała jej nad nim przewagę. Nie wiedziała, że oszukała sama siebie.

— Mówiłem pani, że dawno zatraciłem zarozumiałość. Pani oświadczenia nie mogę przyjąć à la lettre. Niewielką zresztą jest krzywdą wyjechać w lutym z Berlina do Monte Carlo.

— Jest wiele innych miejscowości na Rivierze — odrzekła. — Mamy willę w Cannes i wielu życzliwych znajomych. Niechże nie zdołam przełamać z panem pierwszych lodów, a zobaczysz co jutro uczynię...

— Jutro... Jutro jestem całkowicie do pani dyspozycji, oprócz kilku godzin tennisa po południu. I jutro musimy spotkać się na śniadaniu.

Odetchnęła z ulgą.

— A więc widzę nareszcie, że nie jest pan przecież taki szkaradny...

— Kto wie? Zwłaszcza, że zdaję sobie sprawę, jak wielce się w tej chwili narażam.

— Ja sama również ryzykuję — wyznała z uśmiechem.

Udali się wgłąb kasyna.

Sale gry były zapełnione tłumem ludzi różnych ras, sfer i narodowości. Jedyny mianownik, który ich łączył, to ubiór, pochodzący z najlepszych firm. Zwyczajnie — elita...

Nie mniej jednak wejście Gertrudy i Granta ściągnęło powszechną uwagę. Podczas ostatniej swej bytności w Londynie i w Paryżu Gertruda zyskała opinję piękności europejskiej sławy. Jej towarzysz zaś, Grant Slattery, obracał się wśród najwyższych sfer większych stolic świata.

Rozejrzeli się dokoła.

— Interesują mnie bardzo pani współziomkowie — rzekł Grant. — Wydaje mi się, że ludzie ci odmienili zupełnie dawny swój typ.

— Niech mi pan to bliżej wytłumaczy — poprosiła.

— Musiałbym mówić bardzo otwarcie — rzucił ostrzeżenie.

— A niechże będzie tak otwarcie, jak pan sobie życzy. Nie będzie mi przykro za rodaków mego męża. Lubię niektórych, a innych nienawidzę.

— Otóż wydaje mi się — zaczął Grant — że kobiety niemieckie nie są już tak ociężałe, pucołowate, niezgrabne i źle ubrane, a mężczyźni traktują je już mniej szorstko i brutalnie. Kobiety nabrały szyku, a mężczyźni dobrych manier. Nie podobni są już wcale do Niemców, jakich spotykało się przed wielką wojną. Mam również wrażenie, jakoby naród ten stracił swój zaczepny wygląd i zdaje mi się, że wojna oczyściła i spłukała w nich butę i zarozumiałość.

— Czy pan istotnie w to wierzy? — zapytała.

— Są to wprawdzie moje przypuszczenia — odpowiedział. — Zauważyłem przedewszystkiem wielką zmianę wśród waszej arystokracji, a w pierwszej linji, jeżeli chodzi o bożyszcze Berlina, młodego księcia Fryderyka. Wszyscy nieomal jednogłośnie twierdzą, że wzoruje się on na obecnym królu angielskim, Edwardzie VIII, kiedy był jeszcze dwudziestoletnim młodzieńcem. Starsi mężowie stanu są zdania, że był najpopularniejszą postacią w świecie cywilizowanym. Skromny, demokrata, o czarującem obejściu, pozyskał sobie wszystkie serca. A to nie są cechy rasy teutońskiej. Mimo to wasz młody książę Fryderyk kultywuje je z lubością. Ciekaw jestem, co pani o tem sądzi, Gertrudo? Jakie jest pani stanowisko w stosunku do nowoczesnych Niemców i jak się pani do nich odnosi?

Gertruda rozejrzała się ostrożnie po sali.

— Przyjacielu — rzekła ciszej. — Jestem prostą kobietą, pozbawioną kwalifikacyj psychologa. Żyję pośród Niemców. Nie lubię ich tak dalece, jak prawdopodobnie nie znosiłabym generacji niemieckiej z przed lat trzydziestu. Mimo wszystko nie rozumiem ich. Tamtego pokolenia z lat 1914—19, pokolenia które wywołało w stosunku do siebie nienawiść powszechną, nie znałam oczywiście wcale. Byłam jeszcze niemowlęciem, gdy podpisywano traktat Wersalski. Twierdzę w dalszym ciągu, że i dzisiejszych Niemiec nie rozumiem wcale. Jeżeliby pan chciał poznać ich bliżej, to moglibyśmy zapytać się człowieka, który zna ich dokładnie. Czy spotkał pan kiedy księcia Lutrechta?

— Nigdy jeszcze — odrzekł Grant. — Lecz słyszałem o nim wiele od lorda Yeovil, który często widuje go w Nizzy.

— Przedstawię go panu — obiecała. — Mój mąż jest zdania, że on właśnie pokieruje przyszłością i losami swego kraju.

— Będzie mi miło go poznać. Nie był jeszcze na służbie rządowej, gdy pełniłem me obowiązki w Berlinie, lecz podobno nienawidzi Ameryki i jej obywateli.

Gertruda wzruszyła ramionami.

— Zdaje mi się, że jest na końcu sali w tej chwili i że jest sam. Proszę poczekać, póki pana nie zawołam.

Przeszła przez salę, na końcu której przywitał ją serdecznie wysoki, sześćdziesięcioletni mężczyzna.

Po chwili rozmowy zwrócili swe kroki w kierunku Granta.

— Miałem pewne sprawy w ministerstwie spraw zagranicznych w Berlinie, kiedy pan był w ambasadzie amerykańskiej. Bardzo mi było przykro, kiedy dowiedziałem się, że porzucił pan służbę dyplomatyczną — wyrzekł uprzejmie ks. Lutrecht do Granta. — Ludzie pana kultury i stanowiska okazaćby nam mogli wiele usług w sprawie nawiązania kontaktu z Ameryką.

— Niemcy wszak pokazali ostatnio, że niewiele im na tem zależy — odrzekł Grant.

Książę uśmiechnął się.

(D. c. n.)



Przy zaziębieniu
reumatyźmie
bólach głowy
ASPIRIN-
tabletki

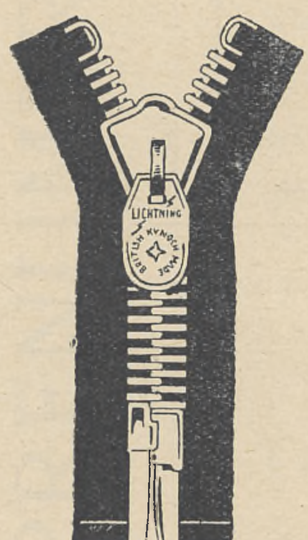
Oryginalne opakowania z czerwoną banderolą i znakiem "BAYER" w kształcie krzyża są do nabycia we wszystkich aptekach.

LAMPY, ŻYRANDOLE, ABAŻURY
AMPLE ALABASTROWE
Wielki wybór. — Niskie ceny.
Dogodne warunki.
polecają
Bracia Wyszomirscy
Chmielna 36, tel. 106-18.

Najlepsze SAMOPOCZUCIE zapewniają
OPASKI MIESIĘCZNE DLA PAŃ „SIGI".
Nie ścierają skóry. Nie wymagają prania, są giętkie, zupełnie nieprzemakalne i dają się łatwo zmieniać.
Do nabycia we wszystkich odnośnych sklepach.

PRZEBÓJ PARYŻA
QUI-...
...-ES-TU?
PERFUMY
ROJINE
PARIS

IMPERIAL CHEMICAL INDUSTRIES LTD.



LIGHTNING FASTENERS
LONDON, S. W. I.
SPINACZE BŁYSKAWICZNE

POLECAMY: Spinacze błyskawiczne dla śniegowców, getrów, odzieży sportowej, galanterji skórzanej, akcesorji automobilowych etc. etc.

OSTRZEGAMY: przed imitacjami, które łatwo ulegają psuciu i rdzewieniu.

Każdy oryginalny angielski spinacz zaopatrzony jest marką fabryczną, jak to wskazuje rysunek.

WYŁĄCZNI PRZEDSTAWICIELE NA POLSKĘ I W. M. GDAŃSK
A. ARONSON S-WIE
1 Plac Żelaznej Bramy, Warszawa.

CZYTAJCIE
„Teatr i Życie Wytworne"



The

GENERAL

TIRE

Opony i dętki najwyższego gatunku

W WYROBACH GENERAL
NIEMA REGENERATU



GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO WYROBÓW „GENERAL"
WARSZAWA, BODUENA 4, M. 6. TEL. 54-43 i 340-40.

TEATRY

WIELKI.
Dn. 16 b. m. „Ijola".
Dn. 17 b. m. „Bal Maskowy".
Dn. 18 b. m. „Lakme".
Dn. 19 b. m. „Halka".
Dn. 20 b. m. przedstawienie zawieszone.
Dn. 21 b. m. „Ijola".

NARODOWY.
Codziennie „Bal w Obłokach".
Dn. 19 b. m. o godz. 3.30 „Kres Wędrówki".

LETNI.
Codziennie „Książę Małżonek".

NOWY.
Codziennie „Adwokat i Róże".

POLSKI.
Codziennie „Rywale".

MAŁY.
Dn. 16 b. m. „Czarujący Emeryt".
Dn. 17 b. m. „Czarujący Emeryt".
Od dn. 18 b. m. codziennie „Wilki w nocy".

ATENEUM.
Codziennie „Podhale tańczy".

MORSKIE OKO.
Codziennie rewja „Cała Warszawa".

ORFEUM MUSIC-HAAL.
Codziennie wielki program inauguracyjny.

CYRK.
Codziennie Walki francuskie.

KINA

Splendid: „Dzika Orchidea".
Stylowy: „Biały kapitan".
Colosseum: „Nieprzyjaciele".
Akropolis: „Wieża miłości".
Tęcza: „Szampańskie życie".
Hollywood: "Halka".
Apollo: „Człowiek, który kręci".

Miłość pathańska

(*Dokończenie ze str. 16*).

Tańczyły i śpiewały. Stale powtarzająca się melodja, od czasu do czasu uderzała w wysoki ton, zmuszając obie tanecznice, do nadszarpywania swych strun głosowych, tak, że audycja, tego szczególnego duetu, była niewypowiedzianie bolesna. Nareszcie się uspokoiły. Nastąpiło rozdzielanie *backchich'u*. „Bogactwo świata" z zachwytem przyglądała się mej chustce do nosa. Widać podobał jej się kolor. Ofiarowałem jej chustkę, zaco zostałem obsypany podziękowaniami pani matki, amanta, chłopca, który bezustannie miętosił w palcach przepiórkę oraz starowinę-filozofa, który nawet na chwilę nie przestawał glamać w bezzębnych ustach kawałki cukru.

Przez ten czas tłum na uliczce powiększył się. Zebrało się tam około stu pięćdziesięciu Pathanów, przysłuchujących się tańcowi i oczekujących na nasze wyjście. Mój wierny obrońca odważnie przebijał się przez to morze ludzkie, czyniąc mi przejście. Zrobiliśmy zaledwie paręset metrów, gdy nagle jakiś człowiek roztrącając tłum przedarł się do nas. Poznałem w nim amanta.

Oczekiwałem na to, że zarząda większego *backchich'u*, za oglądanie jego małżonki morganatycznej, według jego zdania zbyt roznegliżowanej.

Khangiari obrócił się do napastnika i przyjął postawę obronną, chcąc mu dać odpowiednią odprawę. Ale on nie zatrzymywał nas z żądaniem otrzymania pieniędzy. Biedny zalotnik przybiegł za nami, by z całą wyszukaną galanterją, na jaką go było stać, zwrócić mi moją chustkę do nosa. Zdumiony, spojrzałem na mojego przyjaciela i pomyślałem, że piękna Sharin Jahan posiadając, bezwątpienia, olbrzymią kolekcję chustek o różnych i rzadkich odcieniach, zwracała mi mój podarunek, jako zbyt nędzny. Ale Khangiari przygwoździł mnie jeszcze bardziej:

— Twój podarunek, *Sahib*, niema żadnej wartości... „Bogactwo świata" wyciera nos w palce...

!! UWAGA ZŁ. 1.30 !!
W MAŁYCH PUDEŁKACH
Zamiast niewygodnych proszków.
Unikając rozsypywania i krztuszenia.
Bez przykrego smaku.
TABLETKI OD BÓLU GŁOWY
Magistra A. Bukowskiego.
Usuwają szybko najuporczywszy ból głowy.
Znak fabr. praw. zastrz. „trójkąt ze statywem".
Żądać we wszystkich Aptekach.

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE „7 DNI"



Rzęsiste światło podczas zebrań, lub wieczorów towarzyskich, uwydatnia szczególnie piękno należycie pielęgnowanej główki kobiecej, której właścicielka staje się przedmiotem ogólnego podziwu. Celem nadania mym włosom tej jedwabistej miękości i puszystości, które są ozdobą główek dziecięcych, pielęgnuję włosy me regularnie

PIXAVONEM

Z tego powodu wyrażają się moje przyjaciółki pochlebnie o moich włosach, często ich zazdroszcząc.



PIXAVON

Odol Cie S. A. Lwów.

ZOFJA DROMLEWICZOWA

Encyklopedja filmowa

L.

LEKARZ

Stary i łysy nosi w święta i w dni powszednie tużurek staroświeckiego kroju.

Leczy chorych położeniem dłoni na rozpalonem czole i nie pobiera nigdy za tę (niewielką wprawdzie) czynność honorarjum.

Jeżeli pacjentką lekarza jest nieszczęśliwa matka, wówczas powierza mu swe dziecię na zawsze i lekarz je kształci i wychowuje.

Jeżeli pacjentem jest zbrodniarz, wówczas wyznaje mu swe najokropniejsze czyny i pragnąc umrzeć spokojnie, każe przysiądz lekarzowi, że odszuka jego niewinną ofiarę, której wymordował całą rodzinę i odda jej od mordercy ostatnie pozdrowienie.

Niekiedy lekarz, powodowany miłosierdziem, widząc męki konającego, daje mu przyśpieszający śmierć narkotyk.

Wówczas sędziowie pakują szybko nieszczęśliwca do więzienia, gdzie bity przez dozorców, przykuty do ściany, przesiaduje w brudnych łachmanach długie lata (dotyczy to zwłaszcza francuskich lekarzy w amerykańskich filmach).

Jak widzimy z powyższego, zawód lekarza jest zawodem ciężkim i niewdzięcznym.



(fot. Metro, Fox Universal).

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.